Nr. 6. Warszawa, dnia 7 Lutego (26 Stycznia) 1891 r. **Rok XI.**

PRAWDA

FILOZOFIJA — NAUKI SPOŁECZNE — NAUKI PRZYRODNICZE — HISTORYA — JĘZYKOZNAWSTWO — SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa. Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2.** k. **50**, rocznie rs. **10**

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

DRUGI PRZYJACIEL.

I znowu niespodzianka. Przeciw lekkomyślnej, wyniszczającej naród polityce Crispiego, naśladującego żabę podczas kucia konia, pchającego Włochy do ruiny ekonomicznej drogą militaryzmu — odzywały się coraz częstsze i coraz energiczniejsze protesty. Ale ostatnie wybory do Izby dały tak znaczną większość, że aż mu jej powinszował „przyjaciel“ z Friedrichsruh, a zwycięzki sternik mógł śmiało zapewniać, że pozostanie przy „dawnym kursie.“ I oto nagle ten tryumfator, otoczony licznym orszakiem popleczników, zwalił się ze swego rydwanu i został przez nich podeptany sromotnie. Co zaszło? Po prostu gra fałszywemi kartami nie udała się i przytrzymano rękę podczas wolty. W swoich „wielkich mowach“ Crispi zaręczał, że usnie niedobór w finansach państwa i zmniejszy brzemię zapomocą oszczędności, nie uciekając się do nowych podatków. Na to zaręczenie wybrana została przyjazna mu większość Izby. Tymczasem powoli zaczął on pod rozmaitemi osłonami przykręcać śrubę podatkową. Nadewszystko zaś otworzyło wszystkim oczy na istotny stan rzeczy przedstawienie finansowe ministra skarbu. Czytał on je w parlamencie długo, przez trzy godziny, deputowani więc nie mogli odrazu połapać nici cyfr, sofistycznie powiązanych. Dopiero gdy ten i ów rozpatrzył je uważnie w domu, gdy prasa rzuciła światło na punkty ciemne, okazało się, że z ośmiu środków, zaleconych dla pokrycia deficytu, siedem zapowiada nowe podatki. Posłów, wybranych pod hasłem „oszczędności,“ ogarnęło zdumienie. Najpotulniejsi sojusznicy Crispiego zaczęli szemrać, aż wreszcie jeden z nich w imieniu większości złożył następujące oświadczenie: „My, przyjaciele ministeryum i dotąd zwolennicy jego polityki finansowej, widzimy dziś, że rozmaite, dla przywrócenia równowagi w finansach zaproponowane środki niezupełnie godzą się z programem, ogłoszonym przez rząd przed wyborami i pozostają w sprzeczności z formalnemi przyrzeczeniami, jakie daliśmy naszym wyborcom. Na podstawie tego programu oznajmiliśmy im, że równowaga w finansach przywrócona być powinna przez poważne i radykalne oszczędności, dające się zaprowadzić bez szkody kraju i wszelkich gałęzi służby publicznej, że przeto nie zezwolimy ani na nowe podatki, ani na powiększenie dotychczasowych, chyba w wypadku nieuniknionej i bezwzględnej konieczności. Ponieważ zaś nie możemy uznać tej konieczności nowych ofiar, które o tyle byłyby dokuczliwsze, o ile złem jest ekonomiczne położenie kraju, przeto nie możemy i nie powinniśmy przeniewierzyć się naszym przyrzeczeniom.“ Prasa niezależna rozwinęła ten motyw daleko jaskrawiej i ostrzej. Według niej, albo rząd, łudząc naród przed wyborami, nie zbadał dokładnie położenia finansowego i w takim razie postąpił nieroztropnie i lekkomyślnie, albo je znał i zataił, a wtedy dopuścił się świadomego oszukaństwa.

Te niespodzianki i wywody zachwiały stanowiskiem Crispiego. On, który po wyborach rozporządzał w Izbie większością 410 głosów, przy końcu zeszłego roku miał tylko 200, a 29 stycznia — zaledwie 192. W dniu przesilenia do powodów tkwiących w naturze rzeczy przyłączył nierozważnie osobisty. Oskarżył on prawicę (częściowo mu sprzyjającą), że prowadziła politykę służalstwa względem zagranicy. Ta zniewaga, dziwna w ustach człowieka, który Włochy wplątał w poddańczą zależność od Niemiec i przymierza potrójnego, wywołała straszliwą wrzawę. Jeden z ministrów i wielu deputowanych opuściło salę, przyjaciele zwrócili się przeciwko Crispiemu, który chciał złagodzić swoje wyrażenie, ale nie mógł przyjść do słowa. Pozostało mu tylko „udać się po rozkazy do króla,“ tj. poprosić o dymisyę.

Takim sposobem zwalił się drugi filar troistego sojuszu. Podobnie jak jego „wielki przyjaciel“ upadł nie przez błędy w polityce zewnętrznej, lecz wewnętrznej, przeciągnąwszy strunę podatkową narodu. Szychowe blaski, jakimi okrył Włochy, opancerzywszy je militaryzmem, nie opromienią jego nazwiska; natomiast złączy się z niem skarga na zubożenie kraju. Jak po Bismarku, tak po Crispim musi być zmieniony „kurs“ polityki wewnętrznej w kierunku ulg ekonomicznych. Obciążone długami, a co gorsza zmuszone konsekwentnie obarczać się nimi dalej, Włochy szły do zupełnej ruiny. Ani ofiar dotychczasowych, ani tem bardziej większych nie byłyby one w stanie ponieść. Podobno po głosowaniu, które obaliło Crispiego, miał on wyrzec: „nakoniec jestem wolny“; z daleko większą słusznością może to powiedzieć jego ojczyzna.

Cofnięcie się wstecz, ratowanie się zapomocą oszczędności oddziała przedewszystkiem na siłę wojskową, która zużywa najwięcej środków materyalnych. Rzecznicy trójprzymierza mniemają, że na ten związek i wogóle na stosunki zewnętrzne królestwa ustąpienie Crispiego nie wywrze żadnego wpływu. Nie podzielamy takich złudzeń. Naprzód bowiem spólnik osłabiony stanie się mniej pożądanym i cenionym, a powtóre zwycięzki protest włochów przeciwko wyzyskiwaniu ich na korzyść militaryzmu musi oddziałać na inne narody, znajdujące się w podobnem położeniu. Z pewnością niedługo posłyszymy w parlamentach niemieckim i austryackim echa tego protestu. Gdy pierwsze ogniwo żelaznego łańcucha pękło, mogą pęknąć a przynajmniej nadkruszyć się inne, z nim spojone. Z tej racyi upadek Crispiego — zwłaszcza w połączeniu z usunięciem Bismarka — przedstawia nam się jako pomyślny objaw zwrotu w Europie ku większemu poszanowaniu dobra narodów. Gdy z widowni politycznej zeszedł już po Robercie Bertrand— dwaj przyjaciele — może ją zacznie oświecać słońce pracy w pokoju.

LISTY SPOŁECZNO-POLITYCZNE O FRANCYI.

II.

Nędza. — Conseil supérieur du travail. — Stowarzyszenia. — Projekt Hovelacque'a. — Grupa Piou i p. de Castellane. — Cenzura francuska. — „Thermidor" i „Fille Elisa."

Ohydny robak, toczący współczesną cywilizacyę, ukryty zwykle po najciemniejszych kątach i zaułkach, wypędzony został przez surową zimę na samą jej powierzchnię. Nędza cynicznie wywlokła swe łachmany. Ironia losu zestawiła na polu Marsowem w krótkim odstępie czasu dwa pouczające obrazy. Tam, gdzie przed rokiem przechadzała się złota ciżba używających, obecnie rozłożyła swą wystawę nędza i tuli się w gołych ścianach wspaniałych pałaców, upiększonych niedawno wszystkimi skarbami sztuki, przemysłu i nauki. Zamiast szampana, który niedawno lał się strugami, rozdają tu dziś zupę rumfordzką. Na gołej ziemi, otuleni nędznemi kołderkami, spoczywają wytwórcy bogactw, któremi świat przed rokiem się zachwycał. Dobroczynność publiczna sypnęła nędznymi okruchami, a burżuazya zasiadająca w Izbie wyznaczyła dla zaspokojenia bezbrzeżnego morza głodu 2 miliony franków. Żelaznym prawom, które rządzą obecnem społeczeństwem, stanie się zadość: zbyteczna ludność wymrze i wszystko się na chwilę uciszy. Nędza dławi cicho, po kątach, a cały tragizm położenia klasy pracującej zawiera się w tem, iż żadna strona dylematu „Vivre en travaillant, ou mourir en combattant" wykonaną być nie może. Gdy robotnicy bez pracy zebrali się przed Operą, rozpędzono ich wśród szyderczego śmiechu płatnych pachołków i sykofantów dziennikarskich.

Ze wszystkich obietnic, jakie uczyniono przed konferencyą berlińską, chcąc pokazać, iż „la grrrande nation" nie da się wyprzedzić niemcom, nie pozostało obecnie nic prawie. Trąbiono na wszystkie strony, iż ministeryum ma zamiar przedstawić projekt dziesięciogodzinnego, normalnego dnia pracy. Porzucono go jednak, rozumie się, bardzo prędko; aby wszakże przynajmniej w części zaspokoić rozbudzone nadzieje, minister handlu Julian Roche zadekretował utworzenie nowej instytucyi p. t. „Conseil supérieur du travail," na wzór szwajcarskiego „Sekretaryatu pracy." Projektodawca, Teodor Villard, wyszedł z tego założenia, iż handel i przemysł posiadają odpowiednie Izby, które obradują o swych interesach i stawiają swe żądania władzom państwowym. Tylko praca była dotychczas pozbawiona podobnej instytucyi. Nowoutworzone ciało obdarzono właśnie taką inicyatywą prawodawczą. Będzie ono zarazem sądem rozjemczym w zatargach pomiędzy kapitałem a pracą. „Rada" byłaby nadzwyczaj ważną zdobyczą, gdyby skład nie pozbawił jej wszelkiego prawie znaczenia. Tworzy ją mianowicie 18 patronów i tyluż robotników, naznaczanych przez ministeryum. Villard żądał w swym projekcie, aby na wzór szwajcarskiego sekretaryatu robotnicy sami wybierali swych przedstawicieli. Uważano jednak to żądanie za zbyt radykalne. Przytem J. Roche nie wybrał do nowej instytucyi ani jednego członka grup robotniczych, istniejących w Izbie i w Radzie municypalnej Paryża, podczas gdy powinien był zwrócić się przedewszystkiem w tym kierunku, są to bowiem ludzie cieszący się uznaniem wśród mas pracujących. Natomiast między wybranymi widzimy Leona Say i kilku jemu podobnych członków parlamentu, którzy są przysięgłymy przeciwnikami wszelkiej interwencyi państwa w kwestyach pracy. Zauważmy nareszcie, iż Izba handlowa i Izba przemysłowa, które także służyły za wzór przy utworzeniu Izby pracy, składają się wyłącznie z kupców i przemysłowców i to bezpośrednio wybieranych przez ogół patronów. Wszystko to każe rokować, iż „Izba pracy" wielkiego znaczenia mieć nie będzie i że jest obliczona raczej na omamienie tłumów, niż na niesienie im istotnej pomocy. Zresztą wkrótce sądzić ją będziemy z rezultatów.

W sesyi obecnej oprócz kwestyi celnej, o której mówiliśmy w poprzednim liście, Izba zajęta będzie dwiema sprawami: stowarzyszeń i decentralizacyi.

Sprawa stowarzyszeń dotychczas zasadniczo wą Francyi postawioną nie była. Rozstrzygano ją w zależności od potrzeb chwili. Obecnie znajduje się ona na porządku dziennym i to nie bez powodu. Los kongregacyj religijnych jest ściśle z nią związany i bardzo być może, iż pod pozorem wolności nieograniczonej, powypędzane z kraju napowrót doń powrócą. Monarchiści przynajmniej na to liczą, a ponieważ mało ostatecznie im zależy na tem, czy kraj chwilowo nosić będzie tytuł rzeczpospolitej, czy też królestwa, więc przenoszą swe nadzieje do obozu pierwszej. Polityka ta zdobywa coraz więcej zwolenników którzy w Izbie grupują się koło pana Piou. Jeden z najbardziej wpływowych członków nowej grupy, de Castellane, wydał obecnie książkę, w której otwarcie broni zasady „zgody z losem," co w obozie monarchicznym nawet szemrania nie wzbudziło. Przed rokiem wywołałoby burzę. Ta polityka wallenrodyzmu Rzeczpospolitej na dobre wyjść nie może: lepiej mieć do czynienia z wrogami jawnymi, niż z zakapturzonymi. Dopóki monarchiści grali rolę nieprzejednanych, było rzeczą najnaturalniejszą, iż we władzy udziału mieć nie mogli. Z chwilą wszakże, gdy wkładają republikańskie kapoty, nie sposób im będzie odmówić kilku tek. A gdzie jest rękojmia, iż nie zechcą wówczas powtórzyć zamachu 16 maja i z większem powodzeniem, niż poprzednio?

Trudno, rozumie się, wnioskować, do jakiego stopnia obecne ministeryum, cieszące się poparciem reakcyi, jest z nią związane. Nie ulega wszakże wątpliwości, iż zobowiązania istnieją, a monarchiści już nawet do pewnego stopnia wywiązali się z nich przy ostatnich wyborach do senatu. Dlatego też niepokój wzbudza także i drugi projekt, który pod obrady przejdzie podczas bieżącej sesyi, projekt decentralizacyi, przedstawiony przez Abela Hovelacque'a. Jest to, zdaniem powszechnem, bardzo dobry antropolog, ale lichy polityk. I jego wabią iluzye szczęścia, które płyną z autonomii. Tu jest moja chata, tu trzy morgi, a tam płot—zresztą niech się świat przewróci do góry nogami. Reakcya czysta zaciera ręce, a reakcya drobnomieszczańska daje się omamić zwodniczym nadziejom szczęścia, jakie „bez ohydnego przymusu," na zasadzie Smilesowskiej „pomocy własnej" w obrębie „własnego płotu" trysnąć musi.

---

2)

Pan Hilary.

Wolnym krokiem skierował się ku swemu mieszkaniu, wsłuchany w echa własnych, jedynych o tej porze kroków, usiłując zapomnieć o wszystkiem i nie myśleć o niczem. Wkrótce znalazł się przed swoją bramą; machinalnie zadzwonił, również machinalnie wszedł na wschody i otworzył drzwi mieszkania.

Obracając kluczem w zamku, widział już dokładny obraz swych pokojów, zawsze porządnie i symetrycznie zastawionych meblami, który to porządek również od lat wielu przez nikogo nie mógł być zmienionym. Wszedłszy, sięgnął po zapałki, zawsze na biurku obok lampy stojące, i mimo budzącego się dnia światło zapalił. Tu oczy jego, nawykłe do jednostajnego widoku, uderzone zostały nowością. Na poręczy krzesła zwieszał się niedbale i frendzlą rozściełał się po ziemi jakiś pled kratkowany, miękki, mały, kobiecy, tak w pośpiechu rzucony, jakby właścicielka jego znajdować się mogła gdzieś w pobliżu, może za portierą drugiego pokoju.

Pan Hilary doświadczył naraz dziwnej mieszaniny zgrozy, przestrachu i półradosnego zdziwienia. Mnóstwo myśli jak sto naraz błyskawic przeleciało mu przez głowę, a jedna z nich najżywiej go poruszyła; było to jakieś odległe, a nagle zmartwychwstające wspomnienie matki lub siostry, jakiejś kobiety, która była mu bliską. Z pewnem ściśnieniem serca zbliżył się do krzesła, nie śmiejąc dotknąć pledu — gdy naraz przypomniał sobie, że znajomy jego, który przed wieczorem wstąpił po niego, miał ten szal na ręku; musiał go zapomnieć przy odejściu. Pan Hilary nogą pchnął krzesło i nie mógłby sam sobie zdać sprawy, co go bardziej ubodło, gniew za nieporządek, czy—rozczarowanie?

— A, zmęczony jestem, piekielnie zmęczony — powtarzał, układając się do łóżka. Bojąc się przyznać przed samym sobą, czuł, że ta drobna sprawa z pledem stała się ostatnią kroplą, dopełniającą miary jego dzisiejszego rozstroju. Według zwyczaju wziął do łóżka książkę i dzienniki, ale ani najświeższe nowiny europejskie, ani ostatnie rozdziały zawikłanego romansu wrażenia wywrzeć nań nie mogły. Podrażniony, zmęczony rzucił książkę na stolik i założywszy ręce pod głowę, oczy w gzemsy sufitu utkwił i — myślał.

Lat tyle przemyślE! Jak zapamięta siebie w tem mieszkaniu, jest zawsze sam. Cisza tu niezmącona panuje wiecznie; oprócz pogwizdywanej niekiedy piosnki, szelestu przewracanych stronic i codziennych długich a równomiernych jak rytm zegara przechadzek po pokoju, innych odgłosów ściany te nie słyszą niemal nigdy. Nawet gwar miasta zdaleka tylko głuchym szumem dolatuje do cofniętego w głąb dziedzińca domu. Równie jak ta cisza, tak porządek dnia nie bywa tu nigdy zmącony. Pan Hilary zwyczajem starających się kawalerów urządził sobie życie regularne jak pory roku. Zawsze o jednej porze budzi się i kładzie, idzie do biura, na obiad, na przechadzkę; codzień pewną ilość godzin przepędza z książką lub własnemi myślami. Nigdzie prawie nie bywa, nikt też i do niego nie zagląda.

Nie zawsze jednak był tak samotny, ani tak stronił od ludzi. Kiedyś — wspominał to z lekkiem ściśnieniem ramion — podobali się mu jego bliźni i sposób ich życia; lubił wesołe kolacyjki w gronie kolegów, zamiejskie przechadzki, gdzie na świeżem powietrzu tak przyjemnie było wydyskutować się, wykrzyczeć, wreszcie wyśpiewać pełnemi piersiami. Podobał mu się ten i ów z jego towarzyszów i znajomych; przez czas jakiś nawet — ktoby uwierzył? — uprawiał pewien kult: w spotykanych na swej drodze indywiduach uparcie wyszukiwał jaśniejszych stron, lepszych instynktów, mówił, że szuka w ludziach „dobrej myśli, jak w mrowisku szukają ziarnek kadzidła." Wogóle znajdował, że świat wcale nie był tak czarnym, jak to nieraz w sentymentalnych poezyach zdarzyło się czytywać; a jeśli ten i ów nie szedł tą drogą, którąby iść powinien, to najczęściej dlatego, że na swej drodze spotykał przeszkody, wymagające Herkulesowych wysileń i intencyj.

Po za światem studenckim, koleżeńskim, młodym, takim gorącym i takim urwisowskim, był jeszcze inny — pełen nimf greckich, westalek rzymskich, słowem kraina piękna, czystości, prawdy, wszelkich mo-

Projekt Hovelacque'a wymaga *referendum* w sprawach miejscowych, co zresztą nic złego nie przedstawia; możemy sobie bowiem wyobrazić, iż zakres tych spraw jest odpowiednio ściśniony, i wówczas „miejscowe światła“ rzucają swój blask wspaniały i decydujący na kwestye rynsztoków lub pralni. Ale w tem właśnie cała trudność, iż projekt wspomniany chce znacznie rozszerzyć atrybucye rad municypalnych. A jeżeli te błędne ogniki zaczną nadawać kierunek oświacie, np. w każdej gminie z osobna, to można być przekonanym, iż wygrają na tem tylko apostołowie ciemnoty i duchowego kagańca. Zresztą trudno dziś przesądzać o rozległości, jaką reforma przybierze i czy wogóle zastosowaną będzie. Jedno tylko jest do życzenia, aby Paryż, cieszący się nienawiścią reakcyi wszelkiej barwy, dzięki cywilizacyjnej roli, jaką odegrał w ciągu ostatnich stu lat w historyi Francyi, nareszcie podprowadzono pod prawa ogólne. Reakcya, obawiając się jego dyktatury, upośledziła go w porównaniu do innych rad municypalnych. Podczas gdy te ostatnie posiadają władzę wykonawczą w postaci mera, wybieranego bezpośrednio, Paryż ma prefekta mianowanego przez rząd.

O ile reakcya ostatnimi czasy się rozzuchwaliła, możemy wnioskować z tego, iż teatr, otrzymujący zapomogę rządową, ośmielił się wystawić utwór W. Sardou p. t. „Thermidor,“ który uwłacza Rewolucyi. Na drugiem zaraz przedstawieniu robotnicy, zebrawszy się w znacznej liczbie, sztukę wygwizdali i przerywali grę sykaniem i okrzykami. Najwięcej dostało się Coquelinowi, znanemu ze swych wstecznych przekonań. I co najdziwniejsza — cenzura nie zaprotestowała, podczas gdy jednocześnie zabroniła wystawienia sztuki przerobionej ze znanej powieści Goncourtów „Fille Elisa.“ Mądre to rozporządzenie upozorowane było tem, iż bohaterka-prostytutka wzbudza bardziej litość, niż wstręt. Autorowie przenieśli środek ciężkości do newrozy, czyniąc z niej przyczynę upadku i występku. Ponieważ obok choroby prostytucyę wywołuje tylko nędza, więc okropny los tych nieszczęsnych istot z ulicy zasługuje na sympatyę i jest to niewątpliwie zaszczyt dla Goncourtów, iż stanęli w ich obronie. Dziwna rzecz, cenzura francuska, która pozwala, aby po café-chantantach rozlewało się błoto najsprośniejszych fars, stanęła w obronie zagrożonej moralności, gdy artysta ośmielił się wzbudzić litość dla istot obciążonych sromotą, często bez winy. Ojcowie zaś narodu, tańczący kankana po balach publicznych — wzniosły ten taniec dozwolony jest tylko po 12-ej w nocy, rozumie się w interesach moralności — przykryli wstydliwie oczy, a nawet powynosili się w ślad za biskupem Freppelem z Izby, aby nie być świadkami zgorszenia, gdy Milleraud z tego powodu ją interpelował. I czemże większość tych panów jest lepszą od dziewcząt ulicznych? Nie mówimy już o przysłowiowej sprzedaży przekonań, ale wszak na tym targu, który małżeństwem się nazywa, oni figurują z określoną zgóry ceną. I nietylko we Francyi, nietylko w sferach mieszczańskich. Pytaliśmy nieraz, na co u licha może się przydać „radykalny indukty wizm.“ Okazuje się, iż jest on znakomitą przynętą dla posażnych panien. Nasze czasy odznaczają się pod tym względem nieokiełznanym cynizmem. Ludzie, których niedawno spotykano w dziurawych butach, ze świecącymi łokciami i z długopołym grzybem na rozczochranej głowie, dziś nie pokazują się bez melonika, angielskiego paltota i lakierków. „Trzy tysiące renty rocznej, 25 tysięcy posagu, 100 tysięcy“ — oto pokaźne ceny, które przyjaciele szepczą sobie szyderczo do ucha. Każdy z nich „kochał,“ był kochany i w poświęconym związku się zbogacił. Cóż w tem złego? Zwłaszcza że związek ten niektórzy błogosławią podwójnie, nietylko u mera, ale i w kościele, co jest nowym dowodem miłości dozgonnej. Zaiste, nietylko sprzedajne dziewczęta umieją „faire le trottoir.“

L. W.

Z AUSTRYI.

Rozwiązanie parlamentu austryackiego i sejmu tyrolskiego. — Ugoda czeska i ostatni dzień dyskusyi budżetowej w sejmie czeskim... — Pożegnanie Riegera. — Jaką będzie przyszła Rada państwa? — Stanowisko koła polskiego.

Hr. Taaffe, ów kanclerz na pozór z gumy urobiony, znoszący tyle wybryków partyj politycznych z niewzruszoną cierpliwością, nagle ściągnął się, stwardniał, w stal się przemienił i spadł na karki stronnictw zawzięcie dyskutujących niby nóż gilotyny. Rząd rozwiązał sejm tyrolski, a w parę dni potem — parlament. Serdecznem wesołem jest to życie konstytucyjne w Austryi: rząd nie gniewa się, gdy stronnictwa wzajemnie łby sobie rozbijają, a stronnictwa, dowiedziawszy się, że rząd rozwiązuje parlament, słuchają wiadomości tej z ciekawym uśmiechem, i ani im na myśl nie przychodzi zżymać się.

Oba rozporządzenia były niespodzianką dla dyplomacyi i prasy. Doskonale zachować umiano tajemnicę. Artystycznie usceniowano zwłaszcza rozwiązanie sejmu tyrolskiego. Proces rozkładowy występuje już i tam w objawach, stanowiących formalną satyrę na jedność państwową. Włosi tyrolscy żądają utworzenia aż trzech sejmów w Tyrolu: włoskiego, niemieckiego i wspólnego. Wprawdzie ani potężne tam stronnictwo klerykalne, ani niemcy nie chcą zgodzić się na to, mimo to posłowie włoscy wnieśli uchwalenie nagłości dla tego projektu. Chcąc rychlej skręcić kark tej sprawie, większość uchwaliła nagłość dla wniosku Derdiego; natychmiast po głosowaniu powstał namiestnik hr. Merveldt i w imieniu cesarza zamknął sejm. Stropieni posłowie w pierwszej chwili sądzili, że owo żądanie trzech sejmów pobudziło rząd do kroku tak energicznego. Niebawem jednak okazało się, że powodów szukać należy w czem innem. Od dłuższego czasu daremnie usiłował minister Gautsch przeprowadzić w sejmie tyrolskim prawo o nadzorze szkolnym, zgodne z ustawami państwowemi: wpływowe stronnictwo klerykalne nie chciało wypuścić ze swych rąk kontroli szkół. Ani wzorowe zachowanie się nauczycieli ludowych, ani ustępstwa czynione przez ministra nie wpłynęły na usposobienie biskupów tyrolskich; widząc zaś ich nieugiętość, rząd nie miał innego środka dla przecięcia bezowocnej pracy jak rozwiązać sejm.

Rozwiązanie parlamentu zaskoczyło nie mniej niespodzianie trzystu sześćdziesięciu dygnitarzy, którzy w nim zasiadali. Donoszą z Pragi, że hr. Taaffe nawet Riegera o tem nie uprzedził. Nikt nie znał prawdzi-

---

żebnych i niemożebnych ideałów. Bogi! co to za cudackie były wycieczki do owej krainy! Żartujesz nieraz, śmiejesz się, kłócisz nawet, a serce ci kołacze i leciałbyś Bóg wie gdzie i porywał się na Prometeuszowe wyprawy, tak to samo powietrze ideałów robiło cię silnym i lekkim.

Lecz, dzięki niebu, czas tej błogiej naiwności pozostał za nim daleko. Chociaż pan Hilary bawi się niekiedy wspomnieniami, kończy je zawsze tak lekceważącem ręki machnięciem, takim gorzkim półust uśmiechem, że widać, iżby się dziś wstydził i uczuć tych i tych myśli. Odkąd zajął posadę w jednej z większych instytucyj wielkiego miasta i zaczął żyć, jak inni, pracować i na chleb zarabiać, być „cegiełką wielkiego gmachu,“ „jedną ze sprężyn olbrzymiej maszyny,“ poczuł się niedopasowanym do innych „cegiełek“ i „sprężyn,“ wszystko gniotło mu boki, nie przystawało do niego. Sykając z bólu, otrząsając się na wszystkie strony, zaczął przyglądać się, przysłuchiwać, notować w pamięci, póki ostatecznie nie wyjaśnił sobie położenia. „Nie stworzony jestem dla nich, ani oni dla mnie,“ — powiedział raz sobie i odtąd słowa te stały się murem granicznym, który coraz wyżej wyrastał między nim a światem.

Owe „ziarnka kadzidła,“ tak starannie kiedyś wyszukiwane, przy bliższem i dłuższem badaniu okazały się tak lichego gatunku, że w poczet woni boskich w żaden sposób zaliczone być nie mogły. Zdarzało się niekiedy w początkach jego debiutu służbowego, że w ciaśniejszem gronie kolegów zbierali się na bibkę wieczorną. Wśród gwaru banalnych konceptów, sromnych żarcików i anegdot, wyrwie się ktoś z czemś takiem, co dawne dobre czasy przypomni. Ten i ów pod działaniem spirytualij podchwyci rzuconą myśl; przez chwilę podtrzymywana krąży w koło, unosi się z tytuniowym dymem nad ich głowami, czasem nawet parę toastów na jej się cześć wypije; przy powrocie do domu splątanemi słowami powtórzy się stare dźwięki lub hasła, na dobranoc temu i owemu rękę goręcej się uściśnie — a nazajutrz patrzysz, wszyscy jak zwykle siedzą przy swych stolikach, w codziennej postaci, z codzienną twarzą, i skrzypiąc piórem po papierze prowadzą codzienne spory i wiadomości: gdzie można znaleźć najlepsze tytonie, gdzie mieszka niepomówny krawiec Władka, jakiej to brunetce asystuje Janek, która z restauracyj lepsza, czy ta, gdzie dają taką pyszną pieczeń, czy owa z fertyczną Zuzią lub wygadaną Fruzią. I widzi pan Hilary, że owe „ziarnka kadzidła,“ jak istotne kadzidła rozwiały się z parą spożytych spirytualij, nie zostawiwszy najmniejszego śladu pod temi starannie ułożonemi czuprynami. Przestał więc uczęszczać na zebrania koleżeńskie, a jeśli kiedy uniknąć ich nie mógł, starał się usilnie nie poruszać pewnych kwestyj, lub jeśli je poruszano, przysypywać budzący się płomień popiołem. Pojedynczo znajomi jego nic przedstawiali nic godnego uwagi; było mu tak z nimi, jak temu, co dużo romansów przeczytał: od pierwszych stronic wiedział, jak się skończą i jak prowadzone będą. Po kilkuletnich obserwacyach nauczył się odgadywać, wprzód nim na jaw wyszły, wszystko ich uczynki, wszystkie pobudki, wszystkie mniej lub więcej żywsze poruszenia ich dusz. Ich uciechy, kłopoty, zabiegi, wszystko to już tak było mu znane, tak nieciekawe, a tak małe, że na samo wspomnienie ziewał. Ta małość otaczającego świata i nuda wewnętrzna — zabijały go. Czasami zdawało mu się, że tonie w jakiemś morzu grzązkiem, gdzie za każdym krokiem naprzód fale zamykają się za nim, a przed nim otwierają się wciąż nowe wały wiecznie tych samych nędznych, nogi mu plączących małości. Rok po roku usuwał się z szerokiego koła swych towarzyszów, ograniczając się do najniezbędniejszych tylko stosunków, wreszcie ludzie od niego, on od ludzi odszedł i zamknął się w swej samotności i ciszy, rad, że nikt mu jej nie przerywa. Po za koleżeńskimi stosunkami miał jeszcze stare, rodzinne znajomości, które w imię tradycyi podtrzymywał. Lecz co one mogły mu przynieść? Niewiele potrzebował czasu i spostrzeżeń, aby znaleźć definicyę życia rodzinnego. Według niego, był to nieustanny kołowrot, w którym jednostka bardziej inteligentna dla odrobiny efemerycznych przyjemności zatraca na korzyść mniej inteligentnych wszystko, cokolwiek bywa w niej lepszego. To też niczem nie można było go tak nastraszyć, jak namową do małżeństwa. Kobieta, czy to z nimbusem kapłanki domowego ogniska, czy wyanielona panna na wydaniu, czy postępowa pionierka, wzbudzała w nim pewien rodzaj obawy — nie wierzył jej. Wierzył, że pierwej czy później najwznioślejsze anioły tracą skrzydła, najświętniejsze

wego powodu rozporządzenia, a każdy, rzecz jasna, upatrywał przyczynę w losach ugody czesko-niemieckiej. W Pradze sejm właśnie ukończył był dyskusyę budżetową, która, jak wszystkie poprzednie, toczyła się głównie nad ugodą. Ostatni dzień, poświęcony rozprawie budżetowej, z kilku względów był doniosłym. Poseł Herold określił stanowisko, jakie młodo-czesi myślą zająć w Radzie państwa, skoro rozszerzą w niej swój grunt. Według niego ogólny układ stosunków politycznych pozostanie niezmieniony. Ze szlachtą feudalną młodo-czesi pozostawać będą w porozumieniu, podobnie jak starzy z polakami również w ścisłej postępować będą solidarności, klerykałów zdobędą dla żądań swych autonomicznych, a po rządzie spodziewają się życzliwości. Hr. Clam-Martinitz w długiej przemowie usiłował dowieść, że ugoda czeska bynajmniej nie rozbiła się, jak twierdzą złośliwi dziennikarze wiedeńscy, jeżeli jedyne części ustawy, które przedstawiono sejmowi, zostały uchwalone. Uroczystą wreszcie była chwila, w której Rieger zwrócił się do młodo-czechów, przekazując im swój niejako testament polityczny. „Skoro naród rozstrzygnie na waszą korzyść“ — zakończył — w takim razie poddam się głosowi jego. Życzę jedynie narodowi, aby powierzył swe wodze mądrym rękom, które polityki nie traktują lekkomyślnie, jako sportu; ludziom uczciwym, charakterom nieskalanym, ludziom, po których spodziewać się można, że w żadnej sytuacyi nie zdradzą interesu narodu dla własnej korzyści. Dziwne są drogi Opatrzności. Skoroby się stać miało, aby polityka wasza nadspodziewanie dobre odniosła skutki, będę was błogosławił. Skoro zaś ciężkie narodowi zgotujecie próby, niechaj naród przypomni sobie, że go ostrzegałem.“

Najbliższą i najważniejszą teraz dla ludów austryackich kwestyą, jak się ukształtuje większość w nowym parlamencie? Życzenia rządu w tym względzie, wyrażone w objaśnieniu (w *Wien. Zeitung*) edyktu rozwiązującego parlament — są tak ogólnikowe, że w ramach ich pomieścić się może zarówno większość z dotychczasowym, jak i innym składem. Hr. Taaffe pragnie mieć parlament, który szanując indywidualność ludów i religijność, jako główną podstawę kultury, stanowiłby silne przedmurze przeciw dążnościom skrajnym i niepatryotycznym, a zarazem zawsze miał na oku interes państwa. Każde stronnictwo na swoją korzyść tłomaczy dziś te słowa. Jedyna grupa, która zupełnie może być pewną, że w pozycyi jej żadna nie zajdzie zmiana, to posłowie galicyjscy. Wiedzą oni, że bez nich żadna większość istnieć nie może, co więcej, że upatrzeni są przez hr. Taaffego jako punkt ośrodkowy przyszłej większości. Oni też jedni wiedzieli, co się gotuje. Przewodniczący Koła polskiego, Jaworski, w ostatnich dniach bawił w Wiedniu i wraz z namiestnikiem galicyjskim, hr. Badenim, naradzał się z hr. Taaffem i ministrem Dunajewskim. Koło polskie ofiarowało swe usługi hr. Taaffemu; zdaje się, że rząd odwzajemni się posłom polskim. Jeden z najwybitniejszych posłów galicyjskich tak sobie wyobraża ugrupowanie się przyszłego parlamentu: ośrodek stanowić będzie Koło polskie, połączone z odłamem liberałów niemieckich. Spodziewać się należy nowego rozdrobienia opozycyi liberalnej, część jej bowiem nigdy nie stanie pod znakami hr. Taaffego. Do owej grupy głównej przystąpią rusini, słowieńcy i klub Coroniniego. Prawdopodobnie w gabinecie zajdą zmiany, będące następstwem dla nowo pozyskanej garści posłów niemieckich. Rząd w tym względzie oczekuje rezultatu wyborów. To pewna, że hr. Taaffe pozostanie u steru.

Nowe wybory odbędą się do marca b. r., poczem bezzwłocznie zgromadzi się parlament. Zająć on się ma kilkoma sprawami naglącemi. Uchwalenie budżetu, według życzenia rządu, nastąpić musi jeszcze na wiosnę. Wiadomo zaś, że dyskusya budżetowa, to kamień probierczy potęgi i stosunku wzajemnego każdoczesnych stronnictw politycznych. *S.*

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Prawdziwy grad spadających dostojników: gen. Leszczyński, hr. Waldersee, Crispi, Dunajewski, Giaicz — a podobno jeszcze nie koniec. Prawie równomiernie z ustąpieniem Crispiego posiada znaczenie dymisya Dunajewskiego. Wbrew stanowczym doniesieniom dobrze powiadomionych dzienników zagranicznych, które od chwili rozwiązania Rady państwa ogłaszały tę dymisyę za nieuniknioną, pisma nasze wykręcały prawdę na opak i pod tytułem wiadomości czerpanych z „wiarogodnego źródła“ puściły w świat cały szereg banialuk: że Dunajewski jest panem pozycyi, a stanowisko jego niewzruszone, że „trzyma w swem ręku klucz sytuacyi“ itp. I oto ów niezbędny z kluczem sytuacyi w ręku i orderem św. Szczepana na piersiach musiał odejść, zanim jeszcze odbyły się wybory, co znaczy, że w rządzie ofiar, poświęconych bogom dla uspokojenia burzy, znajdował się z brzegu. Ten pośpiech w usunięciu ministra, któremu gospodarstwo finansowe Austryi wiele zawdzięcza, przekonywa dowodnie, że rząd postanowił zwrócić się w kierunku lewicy niemieckiej, dla której Dunajewski był kamieniem wiecznej obrazy. Nienawidziła go ona zawsze i upadłego obrzuciła błotem zajadle. O ile odgadnąć można niewyraźnie zarysowane kontury położenia, przedstawia się ono tak: młodoczesi wytworzyli siłę, której rząd ulękł się, a za pomocą przyjaznej mu większości w parlamencie pokonać nie zdołał; więc postanowił przyzwać na pomoc lewicę niemiecką, która mu przyrzekła swe usługi pod pewnymi warunkami — a jednym z nich był Dunajewski. Jego następcą mianowany został Steinbach, podobno wyznawca socyalizmu państwowego, a przedewszystkiem urzędnik bez wyraźnej barwy politycznej. Ta osobistość więc nie objaśnia jeszcze należycie zmiany, która uwydatni się w zupełności dopiero po wyborach. Bądź co bądź, już dziś zaznaczyć można, iż zmiana ta nie dokona się ani na korzyść słowian austryackich.

Arcyksiążę Franciszek Ferdynand, następca tronu austryackiego, wyjechał z dłuższą wizytą (podobno na 10 dni) do Petersburga. Jedne gazety przypisują tej podróży cele polityczne, inne — widzą w niej naturalny i zwykły akt grzeczności przyszłego monarchy wobec dworu sąsiedniego. Stukaniem w palce odgadywać prawdy nie będziemy.

Następca hr. Waldersee, który otrzymał dowództwo korpusu, nie został jeszcze wy-

---

gwiazdy przewodnie nie własnym blaskiem świecą i gasną łatwiej, niż świece; co zaś do zwykłych śmiertelniczek, te może były pełne uroku i cnót wszelakich, ale nie życzył sobie mieć z niemi nic wspólnego — o, nie życzył! Było raz w jego życiu jedno pośliźnięcie się w tym kierunku, jedna chwila głupiego zawrotu głowy, w której o mało całego życia w nędzach tego świata nie zatracił — na szczęście w porę się wytrzeźwił. Gdy wyleczony już i uspokojony po doznanem rozczarowaniu, rozsiadł się był według zwyczaju w fotelu przed biurkiem, opanowała go dziecinna niemal radość. Ciągnąc powoli dym z cygara, nie mógł się nie uśmiechnąć w błogiem rozradowaniu. Był wolny. Nie potrzebuje już się obawiać całego owego harmidru, jaki według niego każda kobieta wnosi do domu męża, nie będzie ani pieszczonym, gdy mu to będzie przykrem, ani zaniedbywanym, gdy będzie potrzebował współczucia; a przedewszystkiem nie będzie w ciągłej obawie przed oszukaństwem. Bo jak małości, jak nudy, lękał się pan Hilary fałszu, a każda ze spotykanych dotąd kobiet była w jego oczach uosobieniem wszelakiej obłudy. Gdyby te piękne panie, nieraz tak miłe nań spoglądające, mogły zajrzeć aż do głębin jego duszy, przed odbitym tam swoim obrazem uciekłyby jak przed widmem. Nie znęciło go więc życie familijne; przerażał go nawet sam widok ludzi, wprzężonych do „swego jarzma.“ Rzadko bardzo dawał się wyciągnąć do towarzystwa; robił to chyba dla spodziewanej partyi winta, do którego czasami z przyjemnością zasiadał. Każde jednak takie wystąpienie ze zwykłej kolei kosztowało go dużo, sprowadzając potem niesmak i myśli tak gorzkie, że się truł niemi jak piołunem. Teraz oto pierwsze promienie słońca ponsową smugą rozlały się na portyerach i ciemnem obiciu — on leżał bezsenny i tak strapiony, jakby go spotkało coś straszniejszego, niż wieczór tańcujący. Od czasu do czasu ciężkiemi powiekami przysłonięte oczy podnosił na piękną, w złote ramy obrazu ujętą postać Medei. Ranne słońce złociło szyję i ręce pięknej kobiety, podczas gdy oczy czarne i groźne zostawały w cieniu i zdawały się posępnie spoglądać na niego. Pan Hilary wielkim był piękna miłośnikiem, gdziekolwiek się ono przejawiało — w przyrodzie, w myśli ludzkiej, w dziełach sztuki, czy pięknej kobiecie, wszędzie jednako mu hołdował. Tę swoję Medeę kochał niemal, tak mu przypadła do smaku, jako piękno w sztuce i jako typ. I teraz, mimo złego humoru, z przyjemnością od czasu do czasu podnosi na nią oczy. Czuje, jak gdyby w nim obok nachmurzonego dziwaka tkwi znawca i wielbiciel piękna i podczas gdy pierwszy dąsa się, drugi coraz bardziej staje się skupionym w obec harmonii i spokojnego majestatu, bijącego od namalowanej postaci.

— Maryonetki! — myślał pan Hilary, mimowoli przeciwstawiając widziane na balu kobiety tej posępnej piękności. — Wasze wypieszczone ręce i szyje niewarte jednego mięśnia tej bronzowej kobiety. Czy chociaż raz w ciągu istnienia twarz wasza zdoła odbić taką potęgę duszy, tyle prawdy w uczuciu? Skrzywione, małe, nędzne stworzenia! Całe ich życie jedną gonitwą za wywyższeniem się, pasowaniem się z pożerającą je żądzą błyszczenia. Ambicya niekiedy stwarza bohaterów; ich pożądania są tak nędzne, że czynią z nich wróble lub sroki. Chcąc znieść próżnię swojej duszy, wypełniły ją fałszem po brzegi, okłamują mężów, ojców, dzieci; nieraz najwznioślejsze hasła podszywają pod tę swoją nędzę. Ideały? dusze wyższe? Mają czuć od nas żywiej, czy głębiej? Najuczciwszej powiedzieć, że jej z tem nie do twarzy, stanie się kamieniem.

Stanęła mu w myśli owa piękna pani z kieliszkiem przy ustach, z wejrzeniem tęsknem, jakby na chłód się skarżącem.

— Nerwy jej się rozigrały — pomyślał — sprzykrzyli się jej wszyscy wielbiciele, więc udaje zakochaną we mnie, który nigdy nie byłem jej adoratorem. Rozmarza to ją i podnieca, przytem wie ona, że z tem jej do twarzy. A ładna; chciałoby się wierzyć tym tęsknym oczom i ustom, co to proszą się pocałunku. Cóż, kiedy się wie z góry, że to wszystko na pokaz, jak te perły, które wkłada dla ludzi i zdejmuje, gdy nikt już na nią nie patrzy. Moja Medeo, wolę ja twój nóż skrwawiony, okropny, lecz śmiały, jak twoje serce prawdziwe i głębokie, choć straszne — a wielkie.

(D. n.)

W. Dal.

brany. Miał nim być według pierwotnych pogłosek Leszczyński, ale ten generał, manifestujący swoją przyjaźń dla Bismarka, zdaje się, wypadł z łaski monarszej i jego dymisya była rzeczywistą dymisyą.

Przesilenie ministeryalne we Włoszech trwa ciągle; wybory w Hiszpanii dały rządowi poważną większość (konserwatywną), los wszakże Crispiego powinien być ostrzeżeniem, jak nieobliczone w swem postępowaniu bywają nieraz większości parlamentarne.

Bunt wojskowy w Oporto, chociaż szybko i łatwo stłumiony, zdradził jednak szeroko rozpostarte sprzysiężenie republikańskie w Portugalii. Był on wybuchem przedwczesnym i niedojrzałym, a więc chybionym, odkryto jednak, że wiąże się z knowaniami rozgałęzionemi po całym kraju, który też ujęto w surowy stan oblężenia.

Zgoda między przywódcami irlandzkimi nastąpiła zupełna, a Parnell zdecydował się wyjechać z O'Brienem do Ameryki dla zbierania pieniędzy. Skutkiem tej zgody Gladstone miał przyrzec, że Irlandya *otrzyma* to, czego jej obrońcy żądali. Otrzyma— z czyich rąk? W tej chwili panują i może długo jeszcze panować będą torysi, Gladstone stoi nad grobem, jego ostatni bill, żądający, ażeby kanclerzem W. Brytanii i wicekrólem Irlandyi mógł być katolik—upadł w parlamencie, więc jaką wartość mają obietnice starca bez władzy?

Najzuchwalszy z posłów angielskich, który nie chciał złożyć zwykłej przysięgi, który był wielokrotnie przez żandarmów wyprowadzany z Izby gmin i ponownie wybierany do niej, słynny niegdyś Bradlaugh, umarł. Bullowie udali poważny smutek, ale chyba długo nie będą żałowali, że im wypadła kość z gardła, która ich dławiła.

Według ostatnich wiadomości arnauci gospodarują znowu w Starej Serbii gwałtem i grabieżą.

BADANIA NAUKOWE.

J. Iwaniukow. *Ekonomia polityczna*, jako nauka o procesie rozwoju spraw społecznych.

Ekonomia polityczna jest w mniejszym stopniu nauką, niż zbiorem wskazówek i rozwiązań praktycznych. Naturalnie, można powstawać przeciwko takiemu wypaczaniu „czystej“ nauki i żądać, aby ekonomii zostawiono charakter teoretyczny i oddzielono od niej wszystkie opisy i rady. Lecz przy ocenianiu tej lub innej książki nie wolno zapominać o tym przeważnie spotykanym rodzaju treści. Niekiedy część opisowo-praktyczna stanowi główną zawartość dzieła. Widzimy to w przetłomaczonej świeżo na język polski *Ekonomii politycznej* prof. J. Iwaniukowa. Olbrzymią część zajmują tu opisy gminnego władania w Rossyi, „kustarstwa“ i wielkiego przemysłu, urządzeń kredytowych i finansowych, dużo też miejsca względnie poświęcono rodowodowi różnych zjawisk ekonomicznych, a w ogóle bardzo niewiele teoretycznemu rozbiorowi faktów i stosunków. Autor stanowczo przenosi punkt ciężkości książki swojej w inną stronę. Zresztą musimy zauważyć, że w porównaniu z dotychczas istniejącymi podręcznikami praca prof. Iwaniukowa przedstawia się bardzo dodatnio. Dość wziąć do ręki utarty sposób pisania takich dzieł i porównać go z jego metodą, a odrazu spostrzeżemy wyższość. Braknie niemal zupełnie owej przysłowiowej mądrości, polegającej na zapełnianiu całych stronic określeniami i definicyami, co zwłaszcza spotykamy u urzędowych ekonomistów niemieckich. Wpływ historyczno-ekonomicznych poszukiwań, silnie panujący w literaturze społecznej ruskiej, odbił się i na tej pracy: kategorye ekonomiczne zostały wplecione w wątek historyczny, jako fakty, właściwe pewnemu miejscu i czasowi. Należy też dodać liczne próby wyjaśnienia rodowodów tego lub innego zjawiska ekonomicznego. Wreszcie jedna jeszcze okoliczność zwraca na siebie uwagę. Autor opuszcza bardzo często drogę utartych nazwisk i staje się rzecznikiem doktryn, od których bardzo daleko i z wstrętem trzyma się urzędowa ekonomia profesorska Europy zachodniej. Książka Iwaniukowa, gdyby ukazała się w Niemczech z pośród grona mężów, którym polecono nauczanie mieszczańskiej ekonomii z katedry, ściągnęłaby na autora bardzo niemiłe następstwa. Jego zachowanie uznanoby za zupełną herezyę — za protest przeciwko wszelkim powagom dotychczasowym. Teorye społecznie niezbędnej pracy, jako miernika wartości, znalazły w nim obrońcę i zyskały w jego dziele zupełne prawo obywatelstwa; podobnie poglądy na rozwój kapitalizmu, na walkę pomiędzy pracą a kapitałem są zaczerpnięte z równie nieurzędowych źródeł.

Słowem, książka prof. Iwaniukowa należy do wyjątkowych. Spolszczenie jej też witamy chętnie, zwłaszcza, że w naszej literaturze ekonomicznej dotkliwie dawał uczuwać się brak podobnej pracy i że nawet w dalszej zagranicy napróżno poszukiwalibyśmy dzieła, które możnaby postawić na równi z *Ekonomią polityczną* tego autora.

Przyjrzyjmy się jednakże i drugiej stronie medalu, naprzód w zakresie zagadnień czysto teoretycznych. Gdyby ktoś w Europie zachodniej przyjął teoryę pracy społecznie niezbędnej, uważałby za swój obowiązek przeprowadzić ją w całej rozciągłości. Jako pochodnia przyświecałoby mu przykazanie: nie będziesz brał innych bogów przede mną! Prof. Iwaniukow tymczasem daleki jest od tej, rzekłbym: „jednostronności.“ Umysł jego, wychowany zdala od zapasów klasowych, w których teorye europejskie dojrzewały, wisi po nad klasami; nawet samo przeciwieństwo pomiędzy pracą a kapitałem, lubo zostało skreślone według wzorów Marxa, a więc z najbardziej krańcowego punktu widzenia, utraciło jakoś właściwą sobie ostrość rysów, jak gdyby ktoś je mgłą pokrył... Zresztą zauważmy, że Iwaniukow bynajmniej nie jest myślicielem oryginalnym i samodzielnym, w całej jego książce nadaremnie poszukiwalibyśmy jakichkolwiek pierwiastków jego własnej twórczości. Jest to przedewszystkiem popularyzator, przytem ze szczególną właściwością duchową, o której już wspominaliśmy: ścierania ostrych rysów. Dzięki temu niezadowolony szatan europejski zamienia się w książce p. I. na wcale przyzwoitego dżentelmana. Otóż ten brak oryginalności własnej i to mało rozwinięte poczucie sprzeczności klasowych europejskich stwarza zeń szczególną postać. Teoretycznie, w rozdziałach początkowych, stoi on zupełnie na gruncie poglądu, że wartość towaru zależy od zakrzepłej w niej niezbędnej pracy społecznej; lecz teorya ta bynajmniej nie jest jeszcze wykończoną, tak np. prawa podziału tak zwanej wartości dodatkowej zgoła nie są określone. Pozostawało więc autorowi albo dalej poprowadzić samodzielne opracowanie przedmiotu, na co się nie zdobył, lub też uzupełnić je istniejącemi w nauce rozprawami Rikarda i innych, co też uczynił. Otrzymano w ten sposób całość, ale jaką! Mielibyśmy podobny widok, gdyby ktoś na zrębie gotyckim osadził wieżę zgoła odmiennej struktury. W ogóle teorya niezbędnej-społecznie pracy w ręku p. Iwaniukowa okazuje się nader mało giętką i elestyczną i autor wprost nie wie, co z nią począć w poszczególnych przypadkach życia ekonomicznego. To też zastępuje ją przez inną, dogodniejszą. Przedsiębiorca, człowiek praktyczny, jeśli bierze oddzielny towar, oblicza cenę jego w sposób następujący: naprzód patrzy, ile przeciętnie kosztuje pojedynczy okaz, a do tej kwoty następnie dodaje średni zysk. Otrzymana suma jest dlań wskazówką, według której układa żądania swoje na rynku. Iwaniukow często idzie za jego przykładem, wiążąc poprzednie swoje pojmowanie ze stanowiskiem praktycznem przedsiębiorcy w sposób pozostawiający bardzo dużo do życzenia. Ale przedstawia on jeszcze dziwniejszy widok. Prof. Iwaniukow, jak wiemy, stanął na gruncie pewnych poglądów teoretycznych. W Europie zachodniej nie są one gabinetowem wyznaniem wiary jakiegoś oderwanego od życia badacza, lecz wyrazem głosów klasowych — warstwy pracującej. Jako przeciwwaga tym dążnościom, ukazała się w Niemczech cała szkoła ekonomiczna, znana pod nazwą realistycznej. Z jej to łona wyszedł Wagner i inni doradcy i kierownicy pozytywnej polityki Bismarkowskiej. Naturalnie, kierunek ten zwalcza nietylko praktyczne dążności przeciwnego obozu, lecz przedewszystkiem usiłuje zwalić teoretyczne założenia, z których ten ostatni wychodzi. Doktryna niezbędnej-społecznie pracy uznaną została jako niezgodna z warunkami i zjawiskami ekonomicznemi, potępiona i — co za tem idzie — zupełnie odrzucona. Tymczasem, o ile wolno mniemać, prof. Iwaniukow uznaje siebie właśnie za przedstawiciela szkoły realistycznej. Istotnie, jego stanowisko w obec tych lub innych zagadnień praktycznych w Rosyi jest stanowiskiem „realistów“ niemieckich. Mimo to jednak autor występuje do boju, uzbrojony teoretycznemi założeniami i przesłankami przeciwnego obozu! Zaiste trudno byłoby o bardziej krzyczący, że tak powiemy, anachronizm logiczny. Wyobraźmy sobie barona średniowiecznego, od stóp do głowy okutego w stal, kiedy z towarzyszami pochyla kopię, aby uderzyć na wroga. Przedstawmy sobie jeszcze, że ów rycerz w tej chwili nie myśli ani o sławie wojennej, ani o walce, lecz że głowa jego zaprzątnięta jest ideałami kupczyka miejskiego, czującego niechęć do miecza a zamiłowanie do łokcia i miarki. Czyż możliwe było sprzężenie tak wrogich a odmiennych od siebie żywiołów? A jednakże umysł p. Iwaniukowa przedstawia coś podobnego: zamiary praktyczne „realistów“ a krytyka istniejących wzorów ekonomicznych według słów *Kapitału*! Przeszłość i teraźniejszość gmatwają się u niego ciągle. Cienie i zmory dawno ubiegłych dni Europy zmartwychwstają, aby dobijać się o przebrzmiałe już prawo do zapanowania na widowni dziejowej. „Naprzykład — powiada autor — niepodobna jeszcze (!) zasadniczo rozwiązać kwestyi: czy można spodziewać się przy współczesnych warunkach ekonomicznych postępowego rozwoju asocyacyj wytwórczych, opartych na zasadzie samopomocy robotników, czy też potrzebną jest do tego pomoc kredytu państwowego. Tymczasem, oczywiście, kwestya ta jest jedną z najważniejszych w sprawie stowarzyszeń, zarówno pod względem znaczenia naukowego, jak i wskazówek praktycznych dla ekonomii politycznej.“ A jednakże cały ten kierunek, z którego p. Iwaniukow zaczerpnął swoje wzory teoretyczne — w tak niefortunny sposób, zupełnie stanowczo ocenia bezsilność samopomocy współdzielczej. Ideał stowarzyszeń wytwórczych, powstających drogą pobudki prywatnej, pokutuje jedynie w głowach drobnomieszczańskiego radykalizmu. Prof. Iwaniukow zadaje sobie Hamletowskie pytanie i niema na nie żadnej odpowiedzi...

To nas zaznajamia z innemi stronami *Ekonomii politycznej*. Wspominaliśmy, że olbrzymią część książki prof. Iwaniukow poświęcił kwestyom praktycznym. Dwuznaczność jego stanowiska występuje tutaj właśnie w całej pełni. Zatrzymajmy się chociażby nad kilku punktami. Na bardzo znacznej przestrzeni w Rosyi istnieje jeszcze tak zwane gminne władanie ziemią. Jest to w gruncie rzeczy pozostałość bardzo dalekiej epoki ekonomicznej, która dzięki warunkom pańszczyźnianym, przedewszystkiem zaś istnieniu gospodarstwa natural-

nego, dotrwała jeszcze do dziś. Obecny rozwój ekonomiczny podmywa tę przestarzałą instytucyę ze wszystkich stron. Antagonizmy rynkowe wkraczają w jej łono, rozsadzają jej istotę, przeciwstawiając mało posuniętej uprawie inną — intensywną. Lecz postęp techniczny może iść tylko jako wynik woli u nielicznych jednostek, które w ten sposób zostają wydzielone z gromady i przeciwstawione ogółowi mniej ruchliwemu. Różnice antropologiczne zostają zamienione na ekonomiczne: osobnik przemyślny staje się kapitalistą-kułakiem, indywidualista rozsadza dawną solidarność, ślamazarny lub bezsilny zostaje zepchnięty w niziny nędzy. Wszystkie dobre strony „obszczyny" zwracają się przeciwko niej samej: solidarność podatkowa, pomoc zamożniejszych mniej zamożnym — wszystko to przygniata wybijające się siły indywidualne, przykuwa nędzarzy do nędzy, bogaczom i przemyślnym przeszkadza robić majątek, wreszcie zamienia dawną organizacyę gminną na środek wyzysku. Dziś też dni gminy, zdaje się, są — policzone — mimo jej pięknych wielu stron i właściwości. Prof. Iwaniukow należy do zastępu, chcącego ocalić tę przeszłość i przystosować jej ustawę do wymagań chwili tegoczesnej. Należałoby w tym razie wyszukać powody rozkładu. Nasz autor rozumie to doskonale. W czem je widzi? „Ważniejszą przyczyną wewnętrzną jest wzrost intensywności gospodarstwa wiejskiego, tj. zwiększenie ilości pracy i kapitału, potrzebnych do uprawy ziemi. Ważniejszą zewnętrzną przyczyną jest wpływ prawodawstwa na władanie gminne." Czy tak? Naprzód zauważmy, że intensywna gospodarka rolna występuje, jako rezultat odpowiedniego zapotrzebowania na rosnącym rynku krajowym. Ów rynek i jego dzieje są głównem źródłem samych zmian w łonie techniki gospodarskiej. Powtóre, prawodawstwo państwowe pozwala na podział własności gminnej lub wydzielenie z niej kilku kawałków prywatnych. W tym razie istotnie czyni ono tylko zadość wymaganiom samego życia. Przypuśćmy bowiem, że prawo powstrzymuje rozkład gminy, jak tego chce prof. Iwaniukow. Jak wiemy, to antagonizmy rynków, wkraczając do gminy, wnoszą odpowiednią sprzeczność w jej łono. Czy prawo zniosłoby je? Czy mogłoby zagłuszyć? Bynajmniej. Kształtując swoje przepisy stosownie do wymagań prof. Iwaniukowa, jedynie zamknęłoby ujście dla walczących pierwiastków ekonomicznych, zmusiłoby wilka i owcę żyć w tej samej oborze, zwiększyłoby jedynie piekło gromadzkie. Ażeby ocalić gminę, wprowadzić ją na tory wyższego rozwoju, trzeba byłoby porzucić scholastyczną drogę p. Iwaniukowa: trzymania w kupie tego, co z konieczności dąży do rozpadnięcia się, i nałożyć cugle na to, co wywołuje rozkład — na samo gospodarstwo wymienne, na rynek pieniężno-towarowy. Tylko gdyby p. Iwaniukowi udało się wstrzymać zamianę produktu gminnego na towar, usunąć potrzebę pieniędzy, tylko wtedy gmina jego zostałaby ocalona. Inaczej wszystkie próby będą zwiększały jedynie sumę bezładu, walki i cierpień. Na podobnie utopijnej podstawie zbudowane są projekty p. Iwaniukowa względem „kustarstwa." Przejście do formy współdzielczo-wytwórczej uważa on jako jedyne wyjście. Gdyby te rojenia ziściły się, zamiast walki kustarnej pomiędzy sobą otrzymalibyśmy potworne zapasy rynkowe pomiędzy pojedynczemi asocyacyami! Dzieje Europy zachodniej dostatecznie jaskrawo kreślą skutki tego. I znowu jedynie opętanie żywiołowych potęg rynku, narzucenie świadomej i celowej woli miotaniom towaru mogłoby poprowadzić do ocalenia „kustarstwa" od szponów kapitalizmu.

Na tych dwóch przykładach poprzestaniemy. Z takimi środkami ani Iwaniukow, ani W. W(oroncow) i całe „narodniczestwo" nie powstrzyma tak wyklinanego przez siebie kapitalizmu. Rozwijając się wraz z rynkiem i obiegiem pieniężnym, złamie on i asocyacye, gdyby cudem dojrzały, zerwie i tę pajęczynę, za pomocą której prof. Iwaniukow chce spętać rozwój gminny. Idzie on, silny żywiołowością rynku i anarchią woli ludzkiej. I kiedy nadejdzie i wyłoni inne pojmowania dziejowe, ochrzci ludzi dobrej chęci w rodzaju tego autora, jako marzycieli społecznych, jako ideologów drobnomieszczańskich, którzy umieli zaczerpnąć od krytyki europejskiej tylko krytykę kapitalizmu, zaś od drobnomieszczaństwa europejskiego — leki bezsilne.

Lud. Krz.

LITERATURA I SZTUKA.

MEISSONIER.

Powiedzieć o nim, że umarł, jest to powiedzieć, że na niebie sztuki dzisiejszej zgasła największa gwiazda.

Krytyka i estetyka są wiecznie zakochane w przeszłości i mlaskając językiem wspominają o starych dobrych czasach malarstwa. Kto jednak rozumie jego postęp, ten zgodzi się i na to, że odkąd Meissonier zaczął malować, kłamane zachwyty nad mistrzami Odrodzenia stawały się coraz trudniejszemi.

Był to ze wszech miar ideał artysty w najpodnioślejszem znaczeniu wyrazu, jako człowiek, jako geniusz twórczy i jako organizacya. Od chwili gdy piętnastoletni wyrostek — urodził się w r. 1815 — przeniósł się nad Sekwanę i zaczął dłubać pędzlem pod kierunkiem słynnego Cogneta, aż do samej śmierci nie zaznał spoczynku. Pracował z niezrównanym zapałem, mimo iż był istnym bogaczem, że na wagę dyamentów płacono jego obrazki, rysunki i niekiedy zwyczajne „od niechcenia" pociągnięcia ołówkiem. Wymagał od siebie niesłychanie dużo; im więcej go dokoła chwalono i wielbiono, tem częściej przemalowywał swoje dzieła, poprawiał, wykończał.

Była to, słowem, bajeczna żywotność i zamiłowanie, cierpliwość i wytrwałość. Największą klęską dla artysty jest wypuścić z pracowni obraz, w którym czuje pewne braki ale liczy na „szansę"; gdy bowiem dozna zawodu, to i sławę swą nadweręży i gryzie się wyrzutami sumienia, że nie usłuchał wewnętrznego podszeptu i nie usunął usterek. O Meissonierze powiedzieć można że ani jednego takiego grzechu nie popełnił. Dopóki sam nie był z płótna zadowolonym, poty nie wystawiał go na widok publiczny.

To też wcielał on w sobie nie tego ducha francuskiego, co paraduje „szerokiem malowaniem" szykiem, graniczącym z niedbalstwem, ale tego, co potrafi z elegancyą „dotknięcia," śmiałością rysunku połączyć możliwie staranne wypracowanie szczegółów. Meissonier w tym względzie czynił raczej zadużo, niż zamało, niektóre bowiem jego finezye wprost dla niedosyć bystrego oka znikały.

Było to zresztą uwarunkowane poniekąd rodzajem, w którym się on lubował, drobnym rozmiarem płócienek, gdzie wszystko musi być subtelne i gdzie malarz nieraz dopomaga sobie lupą. Pod tym względem świeżo zmarły przypominał holendrów, ale nie tych, co gonili za charakterem, okupionym bodaj sprośnością i tłuszczem motywów, lecz tych, co kochali wytworność.

Trudno bez pokrzywdzenia Meissoniera wskazać, jakie tematy stanowiły jego specyalność. Był bowiem wielostronnym i nie w ten sposób daje się najlepiej określić jego indywidualność. To pewna, że równie znakomicie robił portrety, jak malował konie, że z takiem samem mistrzowstwem oddawał sceny stylowo-salonowe, jak zgiełk i zamęt bitwy. Dosyć wymienić niektóre tytuły: „Gra w szachy," „W poczekalni," „Czytanie listu," „Barykady," „Rok 1814," „Bitwa pod Solferino," „U Diderota," „W pracowni" z liczby *ośmiuset* ponoć dzieł, z których każde było istnem wydarzeniem w sztuce. Potrafił pieścić się sybaryckiem urządzeniem komnaty z XVIII w. i wzbijać się do najwyższego zrozumienia tragedyi wojny. Można go nazwać malarzem „stylowym," „rodzajowym," „portrecistą," „koniarzem" — pierwszy bowiem z ostatniej generacyi zaczął znakomicie malować konie — „historycznym" i „batalistą." Ostatnia ta nazwa w tytule jego i nagrobku bądź co bądź figurować powinna na przedzie. Jest to bowiem niezaprzeczenie największy malarz bitew — dosyć powiedzieć, że uczniami jego są znakomici Detaille i Neuville.

Znamieniem charakterystycznem Meissoniera jest tedy co innego — a czemu wszystkie rodzaje jednakowo nastręczają pole popisu, mianowicie *ekspresya* bezprzykładna niemal, ruchu, postawy, linii. Gdy się dba o zwyczajny kunszt *wyrazu*, można go osiągnąć łatwo za pomocą zmian odpowiednich w twarzy malowanej postaci, ale gdy się chce być wirtuozem, to wydobyć można ekspresyę z linii ciała, jego pozycyi z rozmaitych symptomatów, które widz pospolity prześlepia, ale artysta potrafi zrobić *wymownymi*. Meissonier właśnie tę wirtuozyę posiada w stopniu najwyższym, przez co jego płótna są milczące, ale głęboko wymowne i psychologicznie jasne. Nie ma w nich hałasu, komentarzy, maniery scenicznej, dodatków objaśniających; jest tylko lakoniczny a wyrazisty — oto wszystko.

Jego konie tak stawiają nogi, wyciągają szyje i wydłużają tułów, że zdają się ruszać i nogami przebierać. Jego dworzanin, czekający na posłuchanie, jest wprawdzie odwrócony do widza plecami, lecz tak znakomicie opiera się jednym łokciem o ścianę, tak świetnie uwydatnia pozycyą swą stan oczekiwania, że możnaby go porównać z Faunem śpiącym Praksytelesa. Gdzieindziej dwaj młodzieńcy siedzą po dwu stronach stołu i jeden z nich czyta list, a drugi, również z twarzy niewidzialny, słucha z natężeniem. Czujemy najdokładniej w świecie, co się w jego duszy dzieje.

Genialny jest „Rok 1814." Oko nienawykło do niemej ekspresyi malarstwa, nie dostrzeże w nim nic zgoła: a przecież jest to poemat cały! Na drugim planie obrazu ciągnie się gęsty i gruby sznur armii, nie widać ani jego początku ani końca, z ramy wychodzi i w ramę wchodzi i tem daje przedsmak swego ogromu i nieskończoności. A na pierwszym planie jedzie starszyzna, generałowie, marszałkowie. Gdy ich twarze są senne, apatyczne, znużone, postawy niedbałe i opuszczone, tedy Napoleon, jadący przodem, ma minę czujnego żórawia, który pamięta o bezpieczeństwie swych niezliczonych stad. On nie śpi, nie słania się, nie ziewa, lecz jak orzeł — śmiały i rzeźki i wszechogarniający. To prawdziwy wódz, bohater, bóg, wobec którego reszta wygląda jak zbieranina ciurów lub miernot. A jednak olbrzymi ten efekt jest zupełnie prosty, lakoniczny i wypływa ze zwyczajnej różnicy, zaznaczonej między figurami.

Naturalnie tylko głębokie rozumienie natury i troskliwa jej obserwacya dały Meissonierowi tę moc krasomówstwa. Nikt tak szeroko nie wypowiedział służby wyobraźni i intuicyi samorodnej, nie popartej studyami z natury, jak on. I jeżeli zasługą jest francuzów, że oparli sztukę na podstawie bezpośredniego obcowania z rzeczywistością, to największa tej zasługi cząstka przypada z pewnością na Meissoniera. Gdy malował Bonapartego, mknącego konno, wtedy sam przebrany w jego mundur dosiadał wierzchowca i śledził ruchy swoje, grę muskułów konia, światłocień ubrania—

w zwierciadłach. Ażeby odtworzyć stratowane zboże, musiał je naprzód widzieć tratowanem naprawdę, do czego pomógł mu Napoleon III, oddając do dyspozycyi cały szmat pola.

Wielki ten malarz nie schodzi do grobu bezpotomnie. Najpierw cała Europa jest po trosze jego uczenicą; ktokolwiek raz widział jego obraz, musiał odpowiedniego wpływu doświadczyć. Trudno go było naśladować, bo był szczytem doskonałości, ale też trudno było go zapomnieć.

Był to ulubieniec muz wyjątkowy. Geniusz miał wypisany z całą.... ekspresyą na czole, w oczach i całej uderzającej swej i charakterystycznej, choć małej postaci, a przytem umysł szeroki, serce szlachetne, gotowe do współczucia i pomocy: kolonia malarska miała dla niego obok czci wysokiej — i miłość i wdzięczność.

Do nas żadnego z jego dzieł nie sprowadzono nigdy. Dlaczego? Bo były *małe*...

C. Jel.

POEZYA.

BAJKI.

Barany.

Raz lew zwierzętom dawał posłuchanie;
W liczbie innych u dworu
Stawiło się gronko baranie.
Lew jakoś w przystępie dobrego humoru,
Skończywszy posłuchań obrzędy,
Tem wyraził monarszą łaskawość i względy,
Że i Baranów z innymi pospołu
Do królewskiego raczył prosić stołu.
Napróżno siliłbym się orzec
Radość powstałą w baraniej drużynie!
O naznaczonej godzinie
Poczęli się zbierać przed królewski dworzec
Dostojni goście: więc na przedzie
Słonie, Lamparty, Tygrysy,
Potem białe i bure Niedźwiedzie
Za nimi mniejszych stopni dostojniki,
Wilki, Lisy, Żbiki,
Słowem każdy, kto dostąpił honoru
Na zaproszonych być liście.
Jego excelencya Lis, marszałek dworu,
U drzwi spotykał gości
Jak każe ceremoniał, wedle dostojności
I uroczyście
Dygnitarzów świat kosmaty
Na królewskie wiódł komnaty.
Nareszcie przyszła kolej na gronko baranie,
Już miało próg przestąpić, gdy mistrz ceremonii,
Ów Lis — Baranów wstrzyma
I ogarnąwszy chytremi oczyma,
Pełnemi skrytej ironii,
Zawoła niby gniewnie: „Ach, prostaki!
„Toście o etykiecie dworskiej zapomnieli?“
— O jakiej?
— Spytały Barany trwożnie —
— „A o tej, że Barany — odrzekł Lis — jeżeli
„Taki je zaszczyt wysoki spotyka,
„Powinny się stawić u stołu — na rożnie!“
To rzekłszy, poprowadził gości do rzeźnika.

Lis i Wół.

Pewien Lis, szubrawiec z liczby wielu,
Nie wiadomo w jakim celu,
Chcąc przed Wołem uchodzić za wzór szlachetności
I popisać się czułością serca,
Rzekł, westchnąwszy: Ach, ach, powiem jegomości,
Że mię straszliwie oburza
Dzika drapieżność Tchórza;
Cóż to za niecny morderca!
Wczoraj, wyobraź sobie, łotr wywlókł z kurnika
Nieszczęśliwego indyka
I chociaż ten się trzepał, aż leciało pierze, —
Tyran zdusił i odgryzł głowę swej ofierze!
Doprawdy trzeba wielkim być niecnotą,
By się tak pastwić nad słabszą istotą!
A Wół na to: „Haniebnie Tchórz postąpił wczora,
Lecz powiedz, wasza mość lisia,
Czemu nie dalej, niż dzisiaj
Z tegoż kurnika wywlokłeś gąsiora?
— No, ja — Lis odpowie — ja, to co innego!
Zresztą, co waści do tego!..

Małpy.

Raz Małpy pochwyciły człowieka w niewolę.
Postawiwszy go w swem kole,
Poczną się ciekawie przyglądać jeńcowi,
Zachodzą z tyłu, z boku, dotykają skóry,
Nareszcie któraś mówi:
— Dziwny wybryk natury!
Niby małpa — nie małpa... Snać to okaz zwierza
Niższego rzędu,
A to z tego względu,
Że ani sierści na nim, ani pierza!
Ale najbardziej tem jestem zgorszona,
Iż mu całkiem brak ogona!
Zresztą z postawy, wzrostu, nawet z ręki
Do nas podobniuteńki!
Jakaż to szkoda, że dla takiej wady
Nie można go wcielić do naszej gromady!
— „To go zmałpić!“ — któraś zawoła —
— Zmałpić? Jakto? — kilka z nich zapyta —
— „Rzecz prosta zgoła:
„Przyczepić mu ogon i kwita!
„Wszak w tak pięknym celu, o, siostrzyce
„Każda tu z naszego grona
„Poświęci kawał własnego ogona.
„Ot, ja najpierwsza!.. dawajcie nożyce!
— I ja!.. i ja gotowa! —
Krzyknie jedna i druga w szlachetnym zapale.
I już się zabierały czynem poprzeć słowa,
Gdy najniespodzianiej wcale
Wśród nich staje duch Darwina
I tak mówić poczyna:
— „Chce się wam atawizmu!.. lecz przemocą żadną
„Nie wstrzymacie rozwoju!—zawoła donośnie —
„I prędzej Małpom ogony odpadną
„Niż człowiekowi wyrośnie!“

* *

Kiedy patrzę na ludzkość, jak w obecnej dobie
Odarta z ideałów — dziką jest, spodloną, —
Jakiś strach mię ogarnia i zadaję sobie
Pytanie: czy ogonów nam nie przyczepiono...

Włodzimierz Wysocki.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

SĄDOWNICTWO W GALICYI.

II.

Do najcięższych wadliwości ustawodawstwa naszego należy t. z. tok instancyi, który daje możność poprawy tego, w czem sędzia pierwszy pobłądził. Otóż gdybyśmy nawet chcieli zamknąć oczy na wręcz demoralizującą stronę *wykonania* tego prawa, gdybyśmy nawet przypuścili, że wszędzie sędzia wyższy błąd nieszczęśliwy sprostuje— przypuszczenie bardzo wątpliwej wartości — to przedewszystkiem argument ten upada już niemal całkiem na polu prawa karnego, gdzie z wyjątkiem przekroczeń nie mamy odwołania pod względem kwestyi winy, a tak samo upada dla postępowania w sprawach drobnostkowych. W praktyce zaś dochodzi postępowanie takie do *absurdum*. Kto miał sposobność przypatrzeć się, jak w wypadkach nieraz śmiesznie błahych senat z czterech radców czasem po kilkakroć bada jednę i tę samą sprawę, zwracając ją sędziemu pierwszemu z mitręgą czasu stron i ze stratą kosztów, tego nic już lepiej nie przekona o słuszności twierdzenia, że bez wytrawnych, wykształconych i prawych sędziów pierwszej instancyi sądownictwo jest chyba młynem mielącym otręby. A w postępowaniu cywilnem czyż zło zawsze da się w wyższej instancyi naprawić, czy zasada, nakazująca stronie niejako wywalczać sobie sprawiedliwość, nie jest demoralizującą i wdrażającą ludność do pieniactwa?

Gdybyż to przynajmniej owa korektura miała ten dobry skutek, że błędy raz drugi, a choćby dziesiąty poprawione, jużby się nie powtarzały.

W rzeczywistości jednak spotykamy coraz częściej takie wyroki pierwszej instancyi, które ignorując najzupełniej choćby najzasadniejsze poglądy najwyższego trybunału, dowodzą, że sędzia poprzedni zapatrywań tych orzeczeń, nie mając po temu czasu i środków, wcale nie znał.

Do krzywd, podkopujących kamień węgielny społeczeństwa galicyjskiego, należy załatwianie „pertrakcyj“ spadkowych. Inwentarze albo wcale u nas nie są sporządzane, albo butwieją dziesiątki lat w aktach notaryuszów; to też rodziny zmarłych pozostawione są całemi pokoleniami na pastwę losu i złych ludzi. Pozostałe sieroty otrzymują samozwańczego opiekuna, który wcale o nie się nic troszczy. Wydziedziczanie i wyganianie ich z chaty ojcowskiej na poniewierkę między ludzi jest na porządku dziennym. Całe majątki przechodzą w obce ręce, albo najsprytniejsi członkowie opanowywują je z krzywdą małoletnich, niemających pojęcia o tem, czy i co im się z ojcowizny należy. Gdy przyjdą do pełnoletności, majątki ich są już w dziesiątych rękach a sprawy tak pomotane, że najzdolniejszy adwokat rady sobie dać nie może, nawet i w tym rzadkim wypadku, gdy ma dobrą wolę, aby je rozwikłać i gdy skarżący posiada dość zasobów pieniężnych, aby pracę jego wynagrodzić. Lecz ileż to razy skórka nie starczy za wyprawę. Czego zaś nie może zrobić adwokat, to obiecuje i niby to robi pokątny doradca. To też bez liku jest takich spraw w sądach. Takie traktowanie inwentarzów przynosi nieobliczone straty dla kraju. Niszczeje charakter ludu u samego źródła życia, bo w rodzinie, wytwarza się zastęp krętaczów, jedynie z tego powodu, że niema komu zająć się na czas uporządkowaniem spraw spadkowych. W najlepszym razie, gdy samozwańczy opiekun zamyśla nawet majątek administrowany pupilom kiedyś oddać, to i wtedy wyzyskuje go na swą korzyść. Dzięki temu upadają gospodarstwa, lecz nasi „menerzy“ umieją łowić ryby i w tej mętnej wodzie. Bo czyż można sobie wyobrazić lepszego wyborcę, niż osobistość takiego opiekuna sierot? Taki zdemoralizowany wyborca odda nie tylko swój, ale i setki zbałamuconych głosów temu, który mu zagrozi wygnaniem z zagrody nieprawnie dzierżonej, zwłaszcza gdy wie, iż kandydat jest w możności groźbę swą wykonać, a w razie uległości nie szczędzi wódki, piwa, wieprzowiny itp. przynęty. Jest to jedna z głównych przyczyn, dlaczego nasze wybory do ciał autonomicznych zwyradniają się, i czemu te ciała są na odwrót narzędziami do niszczenia dobra publicznego. Te skutki niepewności posiadania gruntów i wogóle własności wśród ludu są znane. Krzywdy potęgują się tam, gdzie z dziada pradziada nie przeprowadzono procesów spadkowych, a co gorsza, gdzie nawet nie spisano inwentarzów! Rozdzielona na drobne cząstki własność, mianowicie ziemska, jest u nas obecnie w posiadaniu chwilowem, a częstokroć bezprawnem licznych członków rozrodzonej rodziny pradziadowskiej, z których każdy rości sobie pretensyę do całości, gdy tymczasem częstokroć nie należy mu się nawet i cząstka. Gdy na takim gruncie osiądzie nawet nieco sprężystszy osobnik i stara się drogą uczciwą o spłatę licznych współpretendentów do fortuny, może to czynić tylko za pomocą znaczniejszej pożyczki. Takie zaś pożyczki dla rolnika są arcyniebezpieczne, nawet wówczas, jeśli je otrzyma na zasadzie hipoteki tabularnej, ale bez porównania szkodliwsze dla naszego ludu rolniczego. Grunty wiejskie nie posiadają instytucyj tabularnych, więc pożyczka może być udzielona

tylko na nieporównanie droższe, tak zwane zastawnicze opisanie.

Kosztowność tego rodzaju długów, połączona z faktem, że lud nasz, często nie pojmując swego położenia sprzedaje i kupuje tak opisane grunta, jak gdyby z wolnej ręki i naraża się przeto na procesy cywilne i karne, powinnaby być dostatecznym powodem do jaknajrychlejszego zaprowadzenia ksiąg tabularnych w kraju naszym. Tymczasem sprawa ta wlecze się bez końca. Ponieważ lichwa leci u nas lotem sępa, słusznie się można obawiać, iż pozostawi owego żółwia daleko za sobą. Próbkę osławionych „prowizoryów“ daje nam znana już i szerszej publiczności „Historya kołka w płocie.“ Wracał raz gospodarz Iwan Zacharuk do domu w dość wesołym humorze. Idąc koło ogrodzonego sadku szwagra i nie mając laski, wyrwał z płota kołek, zupełnie zapomniawszy, że Rosenbaum, arendarz, przyjął w zastaw od szwagra ów ogród i kilka morgów gruntu. Bezpośrednim skutkiem tego zapomnienia było, że w kilka dni później zaskarżył go Rosenbaum o „naruszenie w spokojnem posiadaniu płota...“

Spór ten przegrał Zacharuk, pomimo że kilkanaście razy osobiście stawał w sądzie. Bronił się niedobrze, twierdząc, że mu wolno było kołek wyrwać z płota, bo „sadek ów sam dał siostrze, gdy wychodziła za mąż, a używał go jeszcze jego ojciec i dziad, dlatego zrobi z płotem, co i kiedy mu się tylko podoba, a żyda się nie boi.“ Orzeczeniem jednak sądowem zabroniono Zacharukowi dalszego niepokojenia, zasądzono go na grzywnę 50 złr., zagrożono dalszą grzywną 100 złr. i przyznano powodowi koszta przeszło 20 złr. Wszystko to za jeden kołek w płocie wartości co najwięcej 10 centów... Że Zacharuk nie stracił fantazyi jeszcze, świadczy protokół egzekucyjny, którym za koszta pozwania zajęto mu cieliczkę i którego końcowy ustęp tak brzmi. „W tem miejscu nieprzyjemna uwaga uczynić się musi, iż Zacharuk karygodnego zuchwalstwa się dopuszczał i w obec delegata sądowego wykrzykiwał, a nawet grabić nie dawał. Poczem protokół zamknięto.“ Karygodna ta fantazya opuściła dopiero Zacharuka, gdy c. k. urząd podatkowy zaczął nalegać na ściągnięcie grzywny. Wówczas to „wbiegło“ do sądu pismo podpisane przez wójta i przez dwudziestu kilku najpoważniejszych gospodarzy, zaopatrzono nadto w pieczęć gminną i parafialną, a poświadczające, że Iwan Zacharuk posiada tylko dwa morgi gruntu „z którego on ze swoją żoną i ze swojemi siedmioma małemi dziećmi utrzymać się musi.“ Proszą zatem podpisani o darowanie mu grzywny, „bo tylko swojem gospodarstwem zatrudniony, nie zna on żadnych praw, ani prawnych przepisów we wsi zaś żadnego prawnika nie ma, u którego by rady mógł zasięgnąć.“ Skutkiem tego zamieniono oskarżonemu grzywnę 50 złr. na dziesięciodniowy areszt, który też Zacharuk sumiennie odsiedział.

Tymczasem Rosenbaum wniósł podanie o licytacyę zajętej cieliczki, czego jednak nie wykonano, „bo żadnej cieliczki u Zacharuka nie było.“

Odstąpiono tedy akta wydziałowi karnemu, który po przeprowadzonych dochodzeniach „skonstatował, że cieliczki dlatego nie znaleziono, gdyż wyrosła w „międzyczasie“ na krowę i funkcyonaryusz prokuratoryi państwa wobec tego od oskarżenia odstąpił. Rosenbaum jednak nie odstąpił od swej pretensyi, która z dalszymi kosztami podwoiła się już prawie, lecz wniósł podanie o ponowną egzekucyę, którą „przeprowadzono i zajęto krowę.“ Poczem sąd po raz czwarty rozpisał licytacyę, która jednak dokonana być nie mogła bo „krowa zdechła, więc licytować nie ma co.“ Relacya ta nie uspokoiła Rosenbauma, który w pięć lat później wniósł podanie „o wpis prawa zastawu dla pretensyi w stanie biernym realności Zacharuka.“ Oszacowano realność tę na 120 złr., a sprzedano za 37 złr.! Cena kupna użyta została na częściowe umorzenie pretensyi Rosenbauma, a resztę będzie musiał Zacharuk odrobić. Oto krótki przebieg sprawy, wykazującej, jak to z powodu wyrwania kołka w płocie musiał pozwany: 1) 36 razy stawać w sądzie, a ponieważ sąd oddalony jest od wsi trzy mile, przespacerować się 100 mil, 2) na samo doręczenie uchwał i wezwań (po 17 centów) zapłacić 11 złr. 27 cent.; 3) przesiedzieć 10 dni w areszcie. 4) ustąpić z ojcowizny... Sprawą kołka wartości 10 cent. musiały się sądy zajmować przez 25 lat... (od 1865 do 1890!).

Jest w powszechnem u nas użyciu nazwa „mordować,“ a ma oznaczać umieszczanie i służbę w sądach galicyjskich. Nazwa zasłużona: codzień tam bowiem mordują strony, mordują sędziego, zabijają w najrozmaitszy sposób sprawy. Miałem nieraz sposobność przypatrzyć się temu zblizka. Niedawno zwiedziłem sąd delegowany w miasteczku K. Dzień był brzydki, deszczowy, mimo to do trzystu wyłącznie prawie żydów i chłopów snuło się do koła sądu lub stało ściśniętych w jeden kłębek w ciemnym korytarzu. Cały budynek stary i brudny służył niegdyś za szynk obecnemu właścicielowi. Wilgoć, widoczną na ścianach, uczuwałeś przy oddychaniu. Stęchlizna pochodząca ze zbutwiałych i zgniłych desek na podłodze, zaduch wskutek natłoku niewybrednej wcale publiczności i woń cebuli i czosnku zmieszanego z wódką i tytoniem—uderzały w nas jak maczugą. W salach panował hałas i wrzask, przez nikogo niehamowany. Siedział wprawdzie na ławce jakiś woźny, ale widocznie należał do dobroduszných, bo rozmawiał sobie spokojnie z chałatowcem i palił fajeczkę, z której kłęby dymu czyniły atmosferę jeszcze bardziej aromatyczną. Aby przecisnąć się do biura, trzeba było dokonać szczęśliwie operacyi za pomocą kułaków, bo self-help okazała się konieczną. Biuro, gdzie miałem termin, oryginalny przedstawiało widok, przestrzeń pokoiku o szerokości dwóch, a długości czterech kroków, natłoczona była ludźmi, drzwi skrzypiące wciąż się otwierały i zamykały; zimny, napływający przeciąg powietrza z jednej, ciepło zaś rozpalonego pieca z drugiej strony nacierały na biednego sędziego, który krzyczał wciąż: spokój panowie, proszę o spokój — a gdy się panowie nie uciszali, kazał pisarzowi wypróżnić salę. Natarczywi żydkowie odprawiani z kilkanaście razy ponawiali w ten sposób dobrowolną wędrówkę z sieni do biura i przymusową z biura do sieni. Równocześnie w korytarzu trzej sędziowie z trzema pisarzami, ci ostatni głosem muezzinów, donośnie wywoływali po imieniu strony. Chaos powstał nie do opisania, ciśnięto się i pchano w rozmaite strony na podobieństwo potępieńców Danta. Po skończonem czytaniu wrócił mój sędzia do biura, a za nim, jak tłuszczcza za swą ofiarą, wcisnęła się publiczność. Sędzia zaczął ogłaszać wyroki zaoczne; pozostały jeszcze sprawy „kontradyktoryczne.“ Sędzia coraz słabszym głosem wołał: „spokój panowie;“ coraz mniej wypytywał strony, a za to coraz częściej zapalał świecę przed krzyżem, mówiąc: „uchwala się przesłuchać powoda jako świadka pod przysięgą.“ I tak szły sprawa za sprawą, załatwiane najkrótszym, choć nie najlepszym sposobem zaprzysiężenia powoda lub pozwanego, aż wreszcie około godziny 1-szej otarł sędzia pot z czoła, bitwa została stoczona, stosy tylko porzuconych wezwań jak trupów zalegały podłogę, a duszne, gęste powietrze zostało jako ostatni ślad przebytej walki — o prawo. „Istna mordownia!“

(D. n.).

LISTY KRAKOWSKIE.

Towarzystwo oszczędności kobiet. — Pomnik Mickiewicza. — Stańczycy. — Dunajewski. — Karnawał. — Kokietowanie ludu z powodu wyborów. — Spółka wydawnicza. — Teatr.

Z rzadkiem uznaniem powitano tu inicyatywę grona kobiet, które spaczony monopol pracy społecznej i dobroczynności publicznej ośmieliły się wydrzeć utytułowanym damom, zakładając „Stowarzyszenie oszczędności kobiet.“ Wzorem istniejącego od lat kilku we Lwowie tej nazwy i tychże celów instytucyi, która w krótkim czasie świetne osiągnęła wyniki, podjęło to grono zadanie krzewienia w rodzinach rozsądnej oszczędności dla zgromadzenia kapitału, któryby mógł być obracany na cele podupadającej drobnej własności ziemskiej, na zakładanie szkół i popieranie oświaty. Stowarzyszenie lwowskie w ciągu kilku lat swego istnienia zdołało zebrać około 150 tys. złr., która to suma, wzrastając stale, pozwala rozwijać jaknajdokładniejszą działalność. Dobry przykład zachęcił, poparcie ogółu przyszło z pomocą i dziś Stowarzyszenie liczy już blizko 100 członków. Przewodniczącą wybraną została p. Mieczysławowa Pawlikowska, a wybór członków do wydziału jest rękojmią, że zdrowa myśl wsparta gorliwymi zabiegami wyda i u nas pożądane owoce.

Od zapisania dodatniego faktu rozpocząłem list, bo w naszych stosunkach tak mało tego rodzaju objawów, że gdy się jaki pojawi, honorowe miejsce wyznaczyć mu trzeba.

Oto np. sprawa pomnika Mickiewicza. Nie było zapewne wypadku, aby przedsięwzięcie tej miary stać się mogło areną tak bezprzykładnych harców samowoli i igraszki kilku jednostek z opinią i wolą całego społeczeństwa, jak te, które wyprawia nieustannie komitet ścisły budowy pomnika. Po długiej ciszy dowiedzieliśmy się niedawno, że rozbity komitet „pięciu,“ z którego jeden tylko Matejko mieszka w Krakowie, postanowił się uzupełnić i w tym celu „toczy rokowania z *pewną* osobistością.“ Kto tych panów pouczył o tak szerokim zakresie ich władzy, nie wiadomo, dość że w dzisiejszym stanie rzeczy sprawę budowy pomnika i jego losy komitet ścisły uważa za swą prywatną. Już sama tajemniczość, z jaką osłania swe roboty, dowodzi, że ma on zamiar uśpić czujność opinii. Nie na rękę mu też były wobec tego interpelacye podniesione na ostatniem posiedzeniu rady miejskiej co do wyboru miejsca pod pomnik. W rękach tej rady, która ostatecznie o oddaniu placu przy wylocie ulicy Sławkowskiej rozstrzygać będzie, leży możność zapobieżenia tej samowoli i mamy prawo spodziewać się, że stanowczą odmową raz na zawsze położy kres nadużyciu zaufania publicznego.

Przed kilku dniami spadła tu wieść o zamierzonem ustąpieniu ministra Dunajewskiego. Lęk stąd powstał niemały w pewnych kołach nietylko o ubytek tak potężnego filaru, który w Radzie państwa i koronie podtrzymywał trzy czwarte ciężaru polityki stańczykowskiej i jej interesów, ale także o zmiany w zarządzie Galicyi i przypuszczalne usunięcie namiestnika hr. Badeniego, tak silnego poplecznika i rzecznika partyi. Dunajowski, przyprowadziwszy do skutku swój projekt rozwiązania parlamentu dla stworzenia rządowi sztucznej większości, ujrzał się nagle odciętym od niej, a liberałowie niemieccy, których zwycięztwo w nowym parlamencie nie ulega wątpliwości — zaczęli domagać się głośno ustąpienia jego. Mimo uznania dla zasług ministra, korona musiała poświęcić go dla ważniejszych politycznych względów.

Bądźcobądź jesteśmy w przededniu ważnych politycznych przeobrażeń. W całej

monarchii zaznacza się już dziś wyraźnie przewaga żywiołów demokratyczno-liberalnych, które zdmuchną niewątpliwie resztki austryackiej biurokracyi i przestarzałego systemu.

Nie pozostanie na szarym końcu tego ruchu Galicya, która na takiej zmianie tylko zyskać może. Czują to dobrze stańczycy a obawiając się rosnącego z każdym dniem bardziej wpływu partyi postępowej, która niedawnym wyborem d-ra Sokołowskiego tak dotkliwe, a niespodziewane zadała im cięgi, wytężają wszystkie siły, aby odzyskać straconą przewagę. Środkiem do tego będzie „Krakus,“ wydawany fundnszami powstałej tu niedawno Spółki wydawniczej magnatów. Ma on rywalizować z innem pismem, wydawanem przez stronnictwo postępowe. Nierówne to siły i nierówna walka tam, gdzie po jednej stronie są do rozporządzenia ogromne kapitały i pióra wybitnych publicystów po drugiej — prawda, słuszność i mrówcza zabiegliwość, ale nawet w tych warunkach zdyskredytowana w kraju partya nie małą mieć będzie robotę. Wybory zaskoczyły niepowolanych opiekunów ludu niespodziewanie, zanim jeszcze zdołali przygotować grunt pod swój zasiew, i można się pocieszać, że na ten raz plon chyba nie zejdzie!

Drugim rozsadnikiem konserwatyzmu ma być księgarnia „Spółki wydawniczej“ którą odkupiono od firmy I. K. Żupańskiego i K. I. Heumanna, aby z niej stworzyć ognisko do wydawania książek, pism i wszelkich publikacyj w duchu zachowawczym. Komitet zarządzający umieścił na indeksie nazwiska blizko połowy polskich autorów, a w ich liczbie kilku najcelniejszych w nauce i publicystyce nazwisk, które nigdy nie dostąpią zaszczytu wejścia w stosunki z księgarnią arystokratów. Zadziwiającem jest zaparcie się siebie i poświęcenie tych ludzi. Pp. St. Tarnowski, Paweł Popiel, hr. A. Wodzicki, hr. Scipio, namiestnik hr. Badeni i w. i. nie zawahali się dać swej firmy przedsiębiorstwu spekulacyjnemu„zniżyć się do kasty przemysłowców i zaprzęgli do wozu pogańianego ochoczo przez profesora Straszewskiego, wszystko w imię idei — moralnego rządu, który im się coraz więcej z rąk wymyka.

Karnawał przechodzi siłą pary. Tańcujemy na studentów, na staruszków, na orkiestrę miejską i na Towarzystwo muzyczne, nie licząc całego szeregu zabaw na różne dobroczynne cele. O mało nie zapomniałem — szumowiny półświatka tańczą także na p. Glücksohna Jakóba, przedsiębiorcy teatru, który w salach redutowych daje przytułek i firmę subwencyonowanej przez kraj instytucyi wstrętnym orgiom maskaradowym. Od lat kilku stale ponawiają się głosy, aby przedsiębiorca oszczędził miastu i instytucyi krzywdy, jaką im czyni, posługując się w tem firmą teatru — ale p. Glücksohn umie być cierpliwym i wyrozumiałym i pocieszać się, że gdy nie można wszystkim, należy choć cząstce ogółu dogodzić.

W teatrze okres benefisów. Dotąd było ich dwa, a oba przyniosły nam, niestety, sztuki stare i obce. P. Siemaszko, utalentowany komik, wprowadził na repertoar „Cudzoziemkę“ Dumasa, p. Sobiesław „Półświatek“ tegoż autora. Z zapowiedzianych w dalszym ciągu benefisowych przedstawień budzi oczekiwania „Honor“ Sudermanna, który ujrzymy w sobotę za pośrednictwem p. Siennickiej i „Termidor“ Sardou, zapowiedziany przez p. Hoffmanową. W całym okresie benefisów ujrzymy tylko jedną sztukę oryginalną, a mianowicie „Teścia“ pp. Abrahamowicza i Ruszkowskiego na benefis tego ostatniego, gdyż p. Glücksohn przyszedł do przekonania, że swojski repertorar nie jest bynajmniej istotnym warunkiem materyalnego powodzenia teatru.

Zajmujące dziś cały świat naukowy badania nad skutecznością kochiny i u nas prowadzą się gorliwie. Jak wszędzie jednak, tak i u nas osiągnięte wyniki przedstawiają się wcale nieświetnie. Rektor dr. Korczyński w ogłoszonym świeżo *(Przegląd lekarski)* memoryale, przypisując nowemu środkowi bardzo skromne znaczenie w terapii, zaleca jak największą ogłędność w stosowaniu go, gdyż na podstawie zebranych w tutejszej klinice doświadczeń, w większości wypadków przyniósł on skutek raczej ujemny.

Zastępca.

LISTY PETERSBURSKIE.

20 stycznia.

Bale. — Projekt ubiorów niewieścich. — Koncert Dobroczynności.—Izraelici.—Artyzm kobiecy.— Patti. — Śmierć chirurga Reuera. — Trupa Kościeleckiego. — Spis ludności.

Koncerty, bale, wystawy — i wszystko to dla charłaków... Nic dziw więc, że do owej uprzywilejowanej klasy ludziska coraz chętniej się tłoczą.

Każdy z balów stara się zaćmić inne. Niektóre w owym celu użyły wielkiej ilości brylantów, kwiatów, haftów, jedwabiu itp. Inne ubiegają się za oryginalnością: na jednym z nich mężczyznom rozdawano bukieciki dla wręczenia paniom — najpiękniejszym. Trzy pierwsze, co dostały najwięcej oznak hołdu, otrzymały nagrody. Na balu zaś maskowym w sali resursy Szlacheckiej artyści dawali premia za ubiory najdowcipniejsze, samą zaś salę nazwali Wersalem z czasów Ludwika XV, gwoli czemu na urządzenie jej wydali 8 tysięcy rubli i pomimo to trzy tysiące pozostało dla biednych...

Przyjąwszy na uwagę, że na balu *kwiatów* nagrody dostały się paniom, które... miały największą ilość przyjaznych sobie osób, na maskaradzie zaś... dowcipowi, a brylanty niczem nie odznaczono, twierdzimy, że na przyszłość w ubiorze pań nastąpią ważne zmiany. A więc na oczekiwanym balu katolickiego Towarzystwa Dobroczynności ujrzymy jeno takie, co dowiodą gustu, skromności i oszczędności. Wszystko na świecie bywa! Nim to nastąpi, dostojne panie, które po francusku zwą się damami, są w niezmiernym kłopocie: jak się ubrać, jak zachować? Przed laty robrony i hafty oznaczały dostojników, dziś każda mieszczka, skoro ma grosze, prześciga najrodowitszą. Być grzeczną, uprzejmą i prostą — tłum gotów pomyśleć, że widzi szlachciankę; pysznić się też nie popłaca: każdy handlarz końmi, zaledwie założy kantor bankowy, pyszni się jak książę udzielny.

Owóż uczeni, zamiast roztrząsania do niczego nieprzydatnych biologicznych i społecznych kwestyj, powinniby zająć się badaniem dziś istniejących stosunków, a troszczyć się, aby prawo raz na zawsze określiło dla każdej warstwy społecznej wyłączny, charakteryzujący ją ubiór. Nie chodzi nam o gatunek materyi, wyżsi jesteśmy od przesądów, lecz przynajmniej o krój sukni.

Żony magnatów np. mogłyby nosić odzież zupełną i z naddatkiem, to jest zapinaną u szyi i wlokącą się po ziemi. Przy takiej odzieży wolno mieć oblicze dumne, a nawet sztywne.

Panie szlachetne, lecz mniej zamożne, mogłyby uszczuplić materyi u góry i u dołu; jednocześnie wyraz twarzy powinien być trochę uprzejmy.

Dążąc w tym kierunku, hołota nosiłaby ubiór najtańszy, a podobny do odzieży prarodzicielki Ewy, oblicze zaś miałaby prawo zbiedzić, wykrzywić, a nawet oblać łzami— tego by jej za złe nie poczytano.

Panie nie zbyt szlachetne, lecz zamożne, skoroby miały chęć uwydatnić swą zasobność, mogłyby nosić po kilka sukien na raz, a byłoby to z wielką korzyścią dla społeczeństwa; zamiast bowiem urządzania balów w imię nędzy, zbytecznemi sukniami miałyby prawo obdarzać istoty nagie... Ile przy tej okoliczności pocci mogliby napisać wykrzykników, a czułe dusze wylać łez rozrzewnienia — któż obliczy!

Projekt nasz ma niezmierną ilość zalet i żadne francuskie mody nie mogą go zastąpić. Wprawdzie ostatnia moda już zaleca paniom zamożnym suknie wlokące się, lecz na tem cierpi część górna. Widząc osobę ubraną po balowemu doznaje się wrażenia, jak gdyby odzież spadła z ramienia i wlecze się po ziemi — jeszcze chwila a zupełnie obnaży... piękną. Dodajmy, że właścicielka, nie wiedząc, w jak krytycznym jest stanie, dumnie w około patrzy, a będziemy mieli postać wcale nieharmonijną: strój bachantki i oblicze Minerwy!..

Na koncety w celu dobroczynnym coraz trudniej jest zwerbować wybitniejszego artystę—i nie dziw! Codzień ktoś zaprasza do spółudziału. Człowiek chętnie, spełniający żądania bliźnich-biednych, sam mógłby umrzeć z głodu. To jednak nie daje prawa artystom przyrzekać uczestnictwo i nie wypełniać... Na koncercie katolickiego Towarzystwa Dobroczynności aż dwie osoby pozwoliły sobie niewłaściwego żartu. Artysta pan W. cofnął słowo na parę dni przed wieczorem, zaś pani J. uczyniła toż samo w dzień koncertu. Pomimo niesnasek, dzięki artystce Panajewej-Karcewej i innym chętnym osobom, wieczór przeszedł dość żywo. Czystego zysku, po odtrąceniu rozchodu, otrzymano 1700 rs., tj. o 200 rs. więcej, niż w roku przeszłym.

Niektóre tutejsze gazety narzekają na żydowski *kahał* i radzą zniweczyć go. Projekt nie zbyt dowcipny, skoro wiemy, że owa instytucya jest przedewszystkiem dobroczynną. Dzięki jej, izraelici nie potrzebują urządzać balów, kosztujących 8 tysięcy, ani koncertów, gdzie z wymienionych artystów uczestniczy zaledwie połowa, lecz naznaczają, ile każda jednostka ma płacić do kasy dla biednych — i tem się kończy.

Gazeta *Dień* głosi, że powstaje Towarzystwo, mające na celu walkę z Izraelem. Członkowie obowiązują się nie miewać żadnych interesów z żydami i starać się owe odosobnienie rozszerzać i szczepić. Uprzedzamy, że cały ten projekt jest po prostu reporterskim żartem. O ile zaś takie towarzystwo byłoby celowem — roztrząsać, dziś przynajmniej, nie będziemy.

Panie urządziły wystawę swej pracy — raczej zabawy. Artyzm damski, jak wiemy, zbyt wielu ma nieprzyjaciół; nic dziw więc, że niektórzy z nich po zwiedzeniu wystawy mówią: szkoda czasu, farb i atłasu. Gazety uprzedzają, że drugie żeńskie kółko artystyczne urządzi w lutym wystawę obrazów. Pytanie, czy są w tem kółku artystki, które uczestniczą zwykle na ogólnej wystawie akademickiej? A jeśli nie, po co damska zabawa drobi się na działy i nazywa artyzmem?.. Przyznajemy, że jest to nazwa ponętna, lecz czy można ją zastosować do talerzyka, na którym z wizerunku tuzinkowego szanowna dama skopiowała amorka?.. Narzekamy na fałszowanie chleba, masła i sumienia, a w obronie nieszczęśliwego artyzmu nikt nie chce stanąć.

Ale zostawmy wszystko po dawnemu. Przypomniałem sobie bowiem, że skoro każdą czynność ochrzcimy właściwem imieniem, natenczas i reporter piszący listy chociażby ze stolicy już się nie będzie nazywał literatem: a to się wcale nie podoba!

Z występami p. Patti zachodzą codzienne zmiany: będą, nie będą... Przedsiębiorca, zawierając z nią umowę, obowiązał się, pieniądze za występy przed przyjazdem artystki do Petersburga złożyć w banku londyńskim. A ponieważ nie miał zasobów, więc zebrał je od abonentów za wpisy. W tem stała się rzecz nieprzewidziana: p. naczelnik miasta, zapobiegając wszelkim możliwym, niefortunnym wypadkom, zobowiązał przedsiębiorcę, aby ten przed przy-

jazdem artystki złożył zebrane pieniądze w banku miejscowym. Przedsiębiorca rozpacza... Za to abonenci śpią spokojnie: w żadnym razie ich pieniądze nie zginą.

Wieść głosi, że *Kraj* potrzebuje uporządkowania interesów. Smutne zjawisko, lecz nie nadzwyczajne. Skoro takie przedsiębiorcze kraje, jak np. Anglia mają swe długi, dla czegóżby i *Kraj* petersburski ich nie miał? Wymieniają panów S. P. i B., którzy połączonemi siłami chcą ratować ów okręt od rozbicia, jużci podług nowego sposobu, to jest lejąc oliwę na burzliwe fale. Ster jednak zostawiają w dawnem ręku. Mniemalibyśmy, że i tutaj szkoda czasu, dobrych chęci i... oliwy. Prawda, sternik dowiódł wiele zabiegliwości, lecz co innego jest utworzyć towarzystwo dla ładowania okrętu, co innego być sternikiem, co innego inicyatywa, a co innego — praca wytrwała. Trudno być artystą we wszystkiem!

Głośny chirurg Reuer, rzeczywisty artysta w swym fachu zginął na polowaniu od wystrzału własnej broni. Wspaniały pogrzeb już się odbył, a tysiące kombinacyj dotąd zaprzątają głowy ogółu. Chcąc być, jak mówią francuzi, w biegu sprawy, udałem się do pewnego pana, który był na tej nieszczęśliwej wyprawie, lecz także nie dowiedziałem się nic pewnego.

— Doktór na ten raz był niezmiernie wesoły. Gdy wyznaczono mu posterunek, usiadł na składanem krzesełku i fuzyę oparł o siebie. Oczekując zbyt długo skutków naganki, prawdopodobnie zdrzemnął się; gdy dano pobudkę, porwał fuzyę, której kurki były odwiedzione — huknął strzał, kula roztrzaskała czaszkę...

P. Kościelecki pracuje dosyć szczęśliwie. Co do aktorów, szczególniejszą sympatyą cieszą się: Gloger, Kamiński... Zresztą zapędliwsi z widzów głoszą, że cała trupa jest wielce artystyczną, że pod niektórymi względami wyżej stoi nawet od dramatycznej miejscowej. Jest to zapęd może chwalebny, lecz zapęd tylko.

Słuszność każe wyznać, że artyści należą do mniej wybitnych. A jednak posłuchy, że przy sprzyjających okolicznościach trupa może pozostać w stolicy na zawsze, przyjmujemy chętnie. Tuszymy sobie, że z czasem, gdy bylo koncept przestanie wywoływać oklaski, a spółubieganie się z artystami miejscowymi doda bodźca, będziemy mieli aktorów wcale pokaźnych.

Wkrótce Petersburg obliczy ilość swych mieszkańców. Spis ludności już się uskutecznił, oczekujemy jeno statystycznych wyników, które w swym czasie zakomunikujemy.

N. B.

PAMIĘTNIK.

Rozmyślania karnawałowe.

Jeżeli nie dopuścił się obelgi, to popełnił naiwność ten, kto z początkowych niepowodzeń wróżył smutny żywot obecnemu karnawałowi. Nietylko ożywiliśmy się, ale szalejemy, jak przystało na ludzi, opływających w dobrobycie i szczęściu. Skacząc, tupiąc, kręcąc się i pocąc, wołamy aż do zupełnego wyczerpania sił: „dziś! dziś! dziś!" Hasło to, które od pewnego czasu stało się podobne okrzykiem tańców, zawiera tę myśl głęboką: [illegible] nasze, więc bawmy się, hulajmy, pijmy za ostatni grosz, za sprzedany rozum, honor lub cnotę — a *jutro* nie nasze, więc pal je djabli!" I byłoby nam bardzo wesoło, gdyby: „dziś-dziś-dziś!" trwało dłużej, a *jutro*, którego żaden djabeł spalić nie chce, nie następowało po niem natychmiast. Naturalnie jest rada na tę fatalność: z *jutra* robi się znowu *dziś* — do nieskończoności, a raczej do skończoności pieniędzy, fantów przyjmowanych w lombardzie i kredytu. Dopiero gdy te środki się wyczerpią, gdy nawet niema do sprzedania honoru lub cnoty, wtedy zaczyna się prawdziwe *jutro*. Przebieg obecnego karnawału świadczy, że od tej paskudnej chwili jesteśmy jeszcze dalecy. Bo jeżeli u jednego jubilera obstalowano „12 szczerozłotych karnetów," to chyba mamy prawo krzyczeć: dziś! dziś! dziś! Od tego obstalunku nędza nie będzie miała żadnego procentu, ale też może nie rościć sobie do niego żadnej pretensyi, gdyż tegoroczny karnawał był dla niej hojnym. Co tylko jest w Warszawie głodnego, chorego, niedołężnego, na wszystko tańcowaliśmy. Był nawet projekt tańcowania na korzyść oficyalistów wittgensteinowskich (którzy skutkiem sprzedaży dóbr przez księżnę Hohenlohe pozostali bez chleba), ale już zapust nie starczyło. Poczciwi warszawianie tak się przyzwyczaili do tej dobroczynności nożnej, że gdy dziś któremu z nich wspomnisz o głodnym studencie, o nędzarzu szukającym pracy itp., natychmiast zaczyna bezwiednie podrygiwać, jak gdyby mniemał, że tym ruchem złagodzi niedolę biedaka.

Nie sądzimy, ażeby karnawał prędko ogłosił swą upadłość, ponieważ jednak wychodźctwo ludu do Brazylii nauczyło nas mądrości wczesnego zapobiegania klęskom, więc nie radzimy naszym dziennikom rozgłaszać, że „w Londynie daje się czuć dotkliwie brak tancerzy" i że „zawiązało się tam specyalne Towarzystwo, które dostarcza na wieczory młodzież przyzwoitą i dobrze wychowaną za skromnem wynagrodzenie po 1 funcie szterlingu (około 8 rs.) od głowy." Wiadomość ta bowiem może obiedz szerokie koła narodu Fikalskich, a wtedy Londyn stanie się dla nich Brazylią, „wodzireje" — agentami, przed przyszłym rokiem rozpocznie się gwałtowny ruch emigracyjny, *Kuryer warszawski* będzie musiał wysłać do Anglii specyalnego delegata dla zbadania doli wychodźców, który mu opisze... sposób przyrządzania pudingów, *Kuryer codzienny* zaś, nie mogąc zdobyć się na podobny zbytek, zacznie drukować przynajmniej... gawędę jakiegoś turysty po Szkocyi. Słowem, może się powtórzyć to, na co obecnie bądź ze smutkiem, bądź ze śmiechem patrzymy. A jeżeli dzięki wczesnej przezorności zażegnamy to niebezpieczeństwo, należy mieć niepłonną nadzieję, że po obecnym hucznym karnawale liczba antisemitów, starających się o bogate żydówki, wzrośnie według postępu i prawidłowości lat dawnych. Jak wiadomo, rauty wielkopostne nadają się szczególnie do zastawiania wnyków i sideł w tych łowach. *O.*

Korzeń złego.

Jak kto umiał i chciał, tak wyjaśniał przyczyny emigracyi ludu do Brazylii, a prawie wszyscy dojrzeli je w warunkach ekonomicznych. Sądziliśmy, że już głębiej nie potrzeba odkopywać korzenia tej sprawy, bo on jest widocznym. Tymczasem p. T. Łuniewski sięgnął dalej i wydobył (w *Gazecie rolniczej*) coś nowego. „Koniec XIX w.— powiada szan. teolog — osłabił znacznie uczucia religijne śród wieśniaków. Z osłabieniem wiary słabnie w chłopie konserwatyzm, a w to miejsce (sic) wyradza się liberalizm i kosmopolityzm, a kosmopolita jest już przelotnym ptakiem." Nie będziemy tu badali, czy rzeczywiście dwa złe *izmy* wyparły z duszy chłopa trzeci dobry; radzimy tylko wynalazcy tej moralnej limfy ochronnej, ażeby przed zaszczepieniem jej ogółowi przeciw tuberkułom liberalizmu i kosmopolityzmu postarał się rozstrzygnąć pewną wątpliwość, którą ona nasuwa. Mianowicie, jak to „osłabienie uczuć religijnych śród wieśniaków" pogodzić ze stwierdzonym powszechnie faktem, iż agenci łapią lud na te właśnie uczucia religijne, kłamiąc mu, że emigrantami opiekuje się papież, że na spotkanie ich wychodzą księża z chorągwiami, że z Brazylii niedaleko do Jerozolimy i Rzymu, że nad tą ziemią obiecaną panuje królowa katolicka, której ojciec św. kazał sprowadzić owieczki polskie itd. Jedną też z głównych nut w skardze zawiedzionych jest utyskiwanie, że wbrew obietnicom nie znajdują na miejscu księży, kościołów i cmentarzów. Rzecz niewytłomaczona, jakim sposobem nasi sukmanowi liberałowie i kosmopolici pozwalają się łapać na lep pobożności, która w nich „osłabła" i żalić się na brak tego, czego im nie potrzeba. Pan T. Ł. powinien koniecznie w wątku swej teoryi ten supełek rozwiązać. *H. A.*

Cyrografy.

Podobno jakiś cudzoziemiec przeczytawszy drukowany szemat o najmie mieszkań w Warszawie, który zwykle podpisujemy, zapytał zdumiony: czy też często u was gospodarz każe sobie robić rękawiczki ze skóry lokatora? Uspokojono go, że fakt taki jeszcze się nie zdarzył, że owe szematy są wobec kodeksu, rostrzygającego spory według swoich zasad, wylewem dość nieszkodliwego okrucieństwa i że w tego rodzaju stosunkach najczęściej „złapał kozak tatarzyna, a tatarzyn za łeb trzyma." Ciekawa rzecz jednak, coby powiedział ów cudzoziemiec, gdyby mu pokazano drukowany blankiet deklaracyi, który podpisują od pewnego czasu oficyaliści w lasach ordynacyi Zamojskiej. Wojsko kapitulujące w twierdzy, poddany królika murzyńskiego, żadna istota, zdająca się na łaskę i niełaskę swego pana, nie składa korniejszego zobowiązania. Przysięga on bowiem *„bez najmniejszej skargi i szemrania* poddać się najzupełniej karze, jakąby za złą służbę Władza (ordynacyi) na niego nałożyła"; ślubuje nietylko, że natychmiast opuści swoje stanowisko i zajmowane mieszkanie, ale nadto nie będzie miał żadnej pretensyi do zasiewów na gruncie osady przezeń poczynionych. „W razie wydalania się mego ze służby — przyrzeka on dalej — *czy to wskutek żądania mej Władzy* (ciągle przez duże *W*), czy też wskutek własnej mojej inicyatywy i prośby, zabrać będę mógł i zabiorę z sobą tylko to, co do dnia otrzymania zawiadomienia o mojem wydaleniu lub do chwili podania przeze mnie prośby o wydalenie mnie ze służby będę miał gotowem i zebranem z pola w stodole." Cały ten cyrograf nie zawiera ani słowa wzmianki o wzajemnych zobowiązaniach ze strony „Władzy." To też przypuszczamy, że uczestnik komisyi zajętej ułożeniem nowego kodeksu cywilnego, prof. Holewiński, nie uzna w tej deklaracyi normalnego typu stosunków i nie włączy go do swej pracy nad działem, określającym „zobowiązania"; natomiast sądzimy, że gdyby redakcya nowego kodeksu karnego w jednym z jego artykułów zabroniła takich cyrografów, uczyniłaby bardzo sprawiedliwie. *D.*

Orgia.

Z powodu ujemnych rezultatów doświadczeń szczepienia kochiny w chorobach gruźliczych, zuchwałe nieuctwo wyprawia sobie w naszej prasie prawdziwą orgię. W wybuchach szykany i dzikiej radości Koch opiewany jest jako głupiec i szalbierz, natomiast jako Salomon medycyny i przenikliwy rozpoznawca kuglarskiej sztuki magika berlińskiego występuje... p. Ochorowicz, który odrazu „dedukcyjnie" wykrył i przez *Kuryery* ogłosił bezskuteczność lub szkodliwość nowego środka leczniczego. Naturalnie tryumf nie byłby zupełnym, gdyby nie dopomógł fałsz tendencyjny. Więc wyławia się starannie wypadki ujemne a tai się dodatnie, głosom wskazującym pierwsze nadaje się większą moc i znaczenie, zabarwia się silniej sądy nieprzychylne, przedstawia się sprawę doświadczeń jako zupełnie skończoną — i z pod tych pędzlów wychodzi czarny obraz blagi i oszustwa z podpisem: Koch. Wszystko to ma pretensyę do gruntownego badania rzeczy, sumienności i zamiłowania prawdy. Jak ta prawda wygląda, dla przykładu przytoczymy po-

krótce obrady berlińskiego Towarzystwa lekarskiego z dnia 28 stycznia r. b. Virchow oświadczył, że nie zmienił swego nieprzychylnego zdania o metodzie Kocha. Fürbringer na podstawie doświadczeń w szpitalu miejskim wykazał, że z 40 chorych, leczonych przez 8 tygodni — 3 zostało względnie wyleczonych, 15 — zyskało większą poprawę, niż przy innych metodach, 9 — stan się pogorszył, 3 — umarło. Guttman oznajmił, że nieprawdą jest, jakoby skutkiem szczepień limfy Kocha ukazały się tuberkuły w krwi; ze 164 chorych 63 doznało polepszenia, z 51 w pierwszym okresie — 41. Tak wygląda mniej więcej wszędzie statystyka niefałszowana. Nie jest nam przyjacielem Koch, nie mamy żadnego powodu przyznawać jego szczepionce cudownych własności, których ona nie posiada, ale sądzimy, że zarówno z badaczem tej miary, jak i ze środkami tej szczególnej działalności należy obchodzić się inaczej, niż z pokątnym doradcą medycyny i znachorskim lekiem. Zarówno interes wiedzy, jak interes społeczeństwa wymagają od nas sumiennego i ścisłego oceniania wyników, a nie bezmyślnej orgii, wywołanej radością z niepowodzenia doświadczeń naukowych. Ta nasza radość jest wprost wstrętną, a przeciwstawianie Ochorowicze z blaszkami, magnetyzmem i „dedukcyą" Kochowi z jego rozległemi i gruntownemi badaniami — bezmiernie śmiesznem. *W.*

Korespondencya wychodźców.

Coraz liczniej mnożą się listy wychodźców, pisane z Brazylii do pozostałych w kraju rodzin, przyjaciół i znajomych. Cała ta korespondencya brzmi jedną wielką skargą na zawody, rozczarowania, nędzę i ciężkie warunki klimatu. „Bodaj z piekła nie wylazł, kto Brazylię wymyślił" — pisze zrozpaczony czeladnik ciesielski do swego majstra w Płocku. Podobne klątwy cisną się pod pióra innym. Ponieważ przygasłe na chwilę zarzewie emigracyjne tli się dalej i — jak wskazują rozmaite znaki — wybuchnąć może znowu na wiosnę nietylko we wsiach, ale i w miastach, byłoby więc roztropnem i pożytecznem, gdyby ktoś wydał w jednym zbiorku te listy, poprzedziwszy je objaśnieniami geograficznemi o Brazylii. Książka taka, tanio między ludem sprzedawana, tamowałaby nieszczęsny ruch skuteczniej, niż inne środki. Wiadomo przytem, że sam rząd brazylijski, obawiając się wrzenia śród zawiedzionych mas emigracyjnych, radby powstrzymać ten napływ i już zaprzestał energicznego werbunku. *Z.*

Uświęcenie faktu.

W przykazaniu kościelnem co do postu nielitościwy bieg życia nową zrobił szczerbę. *Przegląd katolicki* obwieścił łaskę stolicy apostolskiej, zlaną na głowy wiernych u nas: podczas postu czterdziestodniowego w roku bieżącym udzielono dyspensy do używania mleka, masła, sera i jaj. Nadto, osobom zgłaszającym się, a mającym słuszne ku temu powody, pozwolono trzy dni w tygodniu (wyjąwszy cały „wielki tydzień" oraz środy, piątki i soboty) jadać pokarmy mięsne. Ale nie darmo! W zamian tedy zalecono, jak zwykle, dobre uczynki, tj. jałmużnę i modlitwę — szczególnie tę ostatnią. Stolica apostolska uwzględnić raczyła z każdym rokiem prawie wzrastającą drożyznę (pokarmów postnych) w większych miastach i odebrała wstrzemięźliwości wszystkie soboty w roku, wyjączywszy te, które poświęcone są wielkiemu postowi, adwentowi, suchym dniom itd. Ulga ta spotkała ludność pracującą następujących miast Królestwa Polskiego: Warszawy, Łodzi, Zgierza, Tomaszowa, Ozorkowa, Konstantynowa, Aleksandrowa, Kutna, Żyrardowa oraz przedmieść Pragi i Woli. W liście tej niema Sosnowca i Dąbrowy; pochodzi to zapewne stąd, że tam mieszka lud bogobojny, który wprawdzie nie daje jałmużny, bo nie ma z czego, ale za to, spędzając połowę życia w podziemiach kopalni, gorąco się modli do swej patronki (św. Barbary), żeby go uchroniła od wybuchu gazów, od pogrzebania w gruzach walących się szybów itd. Jak widzimy, dogmat musiał nagiąć się do rzeczywistości, zapomocą dyspensy ustępuje i uświęca konieczność ekonomiczną. Idea poszła za faktem. *P.*

Spółka rybacka.

Ze zgromadzenia za rok 1889/90 dowiadujemy się, że po pozbyciu się Złotego Potoku prowadzi ona dwa gospodarstwa rybne — w Kocku i Żyżynie, dwóch miejscowościach, które wydzierżawiła aż do roku 1902. W Potoku gospodarstwo pstrągowo skutkiem różnych przyczyn tak daleco nie dopisało, że spółka zmuszona była zwrócić je właścicielowi za odstępnem 4,280 rs., na czem straciła prawie 13,000 rs. Niepowodzenie to jednak odbiła na gospodarstwie w Kocku i Żyżynie, które jej przyniosło 11,000 rs. dochodu, tak, iż strata zeszła do 2,000 rs. To już, według sprawozdania, zapewnia Spółce stały byt, a uczestnikom 30 rs. od każdego 500-rublowego udziału, czyli 6% rocznie. Teraz zaś, gdy stawy w Żyżynie znacznie rozszerzono, jest nadzieja, że dochód Spółki będzie wzrastał z każdym rokiem. Ryb sprzedano w roku sprawozdawczym przeszło 90,000 funtów, stan kasy wynosił w gotowiźnie 6,716 rs. Urządzanie stawów naraziło Spółkę na procesy z włościanami sąsiednimi, ale te nieprzyjemności korzystnie dla niej usunęły sądy. Uroszczenia chłopów, wobec wykazanego przez fachowców dodatniego wpływu stawów na zdrowotność okolicy i zmniejszenie powodzi, nie zyskały poparcia. W sprawozdaniu zaznaczono jedną pomyślną okoliczność, otwierającą szerokie widoki na przyszłość, mianowicie, że do nadprodukcyi ryb jeszcze jest daleko, że choćby było blizko, to ogół na tem skorzysta. Wszystko to bardzo piękne, ale co będzie, jeśli rachuby zawiodą, jeśli dywidenda nie zechce wzrastać? Sądzimy, że i w takim razie uczestnicy powinni śmiało patrzeć w przyszłość i w braku materyalnej podniety pójść po radę do ekonomii opartej na etyce — ona ich ducha pokrzepi nadzieją, że w naszym kraju praca na polu gospodarstwa rybnego jest pracą „umoralniania ludu." *P.*

O PRAWDĘ

(Dokończenie).

Według mojego przeciwnika, ja jestem metafizykiem politycznym, on zaś, rozumie się, pozytywnym politykiem. Z punktu widzenia p. J. W. cały polityczny i administracyjny rozwój Europy ostatniego stulecia jest jednym wielkim błędem, a centralizacya, która stanowi ogólny wyraz tego rozwoju — swego rodzaju grzechem pierworodnym, od którego p. J. W. chciałby uwolnić ludzkość wodą święconą drobnomieszczańskiego samorządu. Wody tej na pewno nie zabraknie w „autonomicznych" ideałach mego oponenta, albowiem z ich urzeczywistnieniem $^3/_4$ szkół francuskich wpadłoby napowrót do rąk kleru, z zupełnem zdeptaniem „wolności sumienia," która w ideałach p. J. W. otrzymała bodaj czy nie wprost odwrotne znaczenie. Bo jeżeli on wypędza wpływ duchowieństwa wielką bramą, chciałem powiedzieć, wielkim frazesem „uświeczczenia szkoły" i „oddzielenia państwa od kościoła," to wpuszcza go po cichu drobną furtką „autonomii": jeżeli w pewnej gminie większość wprowadzi szkołę duchowną wbrew woli mniejszości, to czyż wolność sumienia tej ostatniej zgwałcona nie zostanie? Ogólny zaś akt dla całego kraju rozstrzyga kwestyę zasadniczo.

Wróćmy wszakże do centralizacyi. Niechaj p. J. W. się zastanowi nad historyą wszystkich krajów europejskich, nie wyjmując Szwajcaryi (reformy z r. 1848 i 1774), a nawet — Stanów Zjednoczonych i niechaj orzeknie, czy centralizacya nie jest najwybitniejszym rysem tej historyi, a wówczas się przekona, kto jest metafizykiem i kto powtarza stare „bajki." Pan J. W. istotnie powtarza za panią matką drobnomieszczański pacierz o „autonomii," którą od dawna już spotkał los kamfory, nawet w Anglii, tym klasycznym jej kraju (reforma z r. 1888).

Centralizacya nie jest bynajmniej jakimś „grzechem młodości," popełnionym przez historyę, która biedaczka wlazła na manowce i błądzi po nich już od lat stu, czekając, aby zbawienna dłoń pp. „radykalnych-induktywistów" wprowadziła ją na bity gościniec. Bynajmniej, jest ona koniecznym skutkiem rozwoju kapitalizmu i drogo opłaconym owocem długiej kultury. Trzeba było kilku tysięcy lat cierpień jednostki, aby wytworzyć współczesną zcentralizowaną maszynerię państwową, która jedynie może tylko rozstrzygnąć kwestyę społeczną i wyzwolić wszechstronnie jednostkę. Proszę sobie wybrazić Niemcy po r. 1848, gdy się składały z kilkudziesięciu „autonomicznych" państewek — czyż współczesne prawodawstwo społeczne mogłoby w nich być urzeczywistnione? Proszę dla porównania wziąć Stany Zjednoczone. Jakże nizko stoi w nich jeszcze to prawodawstwo dzięki zachwalanej przez p. J. W. „autonomii," gdy każdy stan z osobna je ustanawia! Rozumie się, dopóki u steru zcentralizowanej władzy znajduje się mieszczaństwo, kwestya społeczna może poczynić tylko pewne nieznaczne kroki, dla zupełnego jej rozplątania musi ująć władzę klasa, w której interesie ono leży.

Od samorządu do bicia pokłonów chłopstwu krok jeden. I p. J. W. nie omieszkał rozumie się go zrobić. Proszę zauważyć łogiczną konieczność, jaka wiąże rozmaite części naszych na świat poglądów. Z jednej strony jest centralizacya, władza państwowa, klasa robotnicza, z drugiej autonomia, pomoc własna i chłopstwo. Nic pośredniego tu być nie może, pod karą *contradictio in adjecto*. Zdaniem p. J. W, chłopstwo, buntując się przeciw W. Rewolucyi, stanęło w obronie swych wierzeń religijnych, gdyż odbierano mu stare, a narzucano nowe i — swej kieszeni, gdyż Rewolucya odarła go do nitki i wypędziła z raju własności feodalnej. Pan J. W. powtórzył tu ten przesąd, który każe się żegnać na dźwięk wyrazu *farmazon*, a przytem popełnił jeden błąd historyczny. Zacznijmy od przesądu. Rewolucya nietylko nie prześladowała wierzeń religijnych, ale przeciwnie, solennie oddała siebie samą opiece Bóstwa (Fête de l'Etre suprême), postawiła nawet jego istnienie jako jeden z artykułów zasadniczych konstytucyi. Burżuazya tworzyła w przeszłem stuleciu państwo klasowe, oparte na wyzysku. Bez uświęcenia tego stanu ze strony religii nie mogła się obejść, nietylko więc nie prześladowała duchowieństwa, ale przeciwnie obdarzyła je sutemi pensyami i synekurami. Prześladowała ona tylko „les pretres réfractaires," którzy nie chcieli się zgodzić na nowy ustrój polityczno-społeczny, knuli spiski na korzyść emigracyi i rozpalali zarzewie wojny domowej. Ich to dziełem przeważnie była szuanerya — nic dziwnego, iż państwo ich karało, karze bowiem zawsze i wszędzie przestępców politycznych. Wierzenia religijne wogóle chcieli prześladować tylko *hebertyści*, ale z tego właśnie powodu jakobini posłali ich na gilotynę, ciż sami jakobini, których p. J. W. zupełnie niesłusznie posądza o nienawiść do duchowieństwa i których głowa, Robespierre pałał taką sympatyą dla księży, iż historya obdarzyła go przydomkiem „księdza z urodzenia" (pretre né — Michelet).

Przejdźmy do błędu historycznego. Wiadomo, że właśnie Rewolucya obdarzyła chłopów francuskich ziemią, którą posiadają dotychczas i że ona zdjęła z nich jarzmo stosunków feodalnych. Z niewolników „taillables et corveables a merci" zrobiła z nich-ludzi wolnych i posiadaczy. O tych faktach zasadniczych p. J. W. zapomina, albo też ich nie zna, napomyka zaś o tem, iż zniesiono *quevaise*, o której sam Lafargue mówi, iż po XVI stuleciu instytucya ta zupełnie zanikła i spotyka się „tylko wyjątkowo." Szkoda, że p. J. W. przeoczył tę okoliczność, wówczas nie uważałby za zbrodnię zniesienia przez Rewolucyę jakiejś nieszczęsnej „quevaise'y," która zresztą już od dwu stuleci nawet nie istniała. Jest to nie do uwierzenia! Toż samo powiedzieć można o „*con-*

venancie a domaine congéable," względem którego wydane było w r. 1792 dogodne dla chłopów prawo. Było ono zniesione dopiero w r. IV, gdy miejsce rewolucyi zajęła reakcya! Zniesienie to p. J. W. zapisuje także na karb Rewolucyi, która, jak wiadomo, zstąpiła do grobu dnia 9 thermidora, tj, daleko wcześniej.

Dalej p. J. W. wyrzuca mi, iż nie wspomniałem, że w r. 1848 i 1871 obok chłopstwa rolę kata wolności odegrały i inne klasy społeczne. Że burżuazya walczyła z czerwonem widmem, w tem niema nic dziwnego, jest to fakt nietylko zrozumiały, ale konieczny. Uważałem więc za potrzebne podkreślić tylko rolę chłopstwa, które stanęło z burżuazyą w jednym szeregu.

Po tem, cośmy powiedzieli, wszystkie rozumie się tyrady p. J. W. o „przedmiotowości szczęścia," o „ohydnych zbrodniach" itp. metafory są albo uderzeniami piórem w powietrze, albo też błędami, których podnosić nie będziemy. Zupełnie jednak niezrozumiałemi dla nas są w tej polemice frazesy o „dręczeniu naszych dzieci w szkołach niemieckich" — którego nikt nie usprawiedliwiał.

Państwo wcale nie powinno się wtrącać w metafizykę religijną, o ile rozumie się ona nie staje się orężem w ręku reakcyi dla dopięcia pewnych szkodliwych dla społeczeństwa celów politycznych lub społecznych. Pozostawiając tak rozległą wolność wierzeniom religijnym, nie możemy tem bardziej rozumie się pochwalać gwałtów, jakie się w Niemczech odbywają względem języka.

L. Winiarski.

KRONIKA

Sprawy społeczne. Niektórzy fabrykanci okręgu łódzkiego na przedstawienie lekarza powiatowego, d-ra Wieliczki, urządzają w zabudowaniach fabrycznych prysznice z ciepłej wody dla swoich robotników.

— Resursa lubelska została zamknięta.

— Projektowane stowarzyszenie pomocy dla starych rzemieślników i robotników w Radomiu przez pana Adamskiego nie uzyskało zatwierdzenia rządu.

— Zarząd Towarzystwa pomocy inżenierów technologów postanowił wnieść do władz prośbę o wyjaśnienie, z jakich praw służbowych mają korzystać technolodzy. Dotąd bowiem wielu na służbie państwowej, nie wiadomo dla czego, nie posiada wszystkich przywilejów, nie otrzymuje rang, emerytury itd.

— W Bordeaux, w dokach robotnicy francuscy wszczęli bójkę na noże z robotnikami niemieckimi. Dwóch niemców otrzymało ciężkie rany.

— We Lwowie zmarła w tych dniach hr. Golczewska cały swój majątek zapisała na utrzymanie nieuleczalnie chorych. Majątki ziemskie w pow. żydoczowskim i kapitały — siostrom miłosierdzia we Lwowie. Na oba te klasztory włożyła obowiązek, aby w swoich szpitalach utrzymywały stale pewną liczbę łóżek dla nieuleczalnie chorych.

— Z Rzymu donoszą, iż robotnicy, pozbawieni zajęcia, napadli na ulicach czeladników piekarskich wiozących chleb i chcieli go zabrać. Policya ich aresztowała.

— Kupiec londyński, Fryderyk Horniman, darował miastu muzeum swoje. Stanowi ono wartość około 100,000 fun. st. i zawiera cenne skarby z dziedziny sztuki i przemysłu Indyi, Japonii, Chin i Egiptu, nadto bibliotekę z 15,000 tomów, obejmującą bogaty zbiór starych rzadkich druków, biblii i rękopisów.

Szkoły. Do Instytutu pedagogicznego w Petersburgu będą delegowani na rok szkolny 1891/2 nauczyciele niższych szkół finlandzkich, dla uzupełnienia znajomości języka ruskiego i dla zajęć praktycznych.

— Kurator dorpackiego okręgu naukowego wydał okólnik do dyrektorów zakładów naukowych, w którym występuje przeciwko zbytniemu przedłużaniu t. z. wakacyj zimowych i oświadcza, że nie powinny one trwać dłużej nad dwa tygodnie.

— Warszawska szkoła rzemiosł Kühna miała wydatków w r. z. 12,163 rs., dochodu 9,212. Niedobór pokryli protektorzy.

— Galicya posiada obecnie 90 fundacyj stypendyalnych dla młodzieży uczącej się, ogółem obejmujących 800,000 zlr.

— Na zjeździe lekarzy w Moskwie roztrząsano sprawę założenia przy uniwersytetach ruskich specyalnego wydziału medycyny sądowej.

Sprawy kolejowe. Według *Kijewlanina*, projektowana kolej z Berdyczowa do Żytomierza wpłynie na rozwój wołyńskich kopalni rudy żelaznej i [illegible] wyrobom z tego produktu współzawodniczyć z wyrobami Królestwa Polskiego.

— Z liczby nowych dróg strategicznych, zapowiedzianych na r. b., zasługuje na uwagę linia od Kowla do Dąbrowic, stacyi dróg poleskich. Na nią skierowane będą ładunki, przewożone tranzyto z kolei południowo-zachodnich na Poleskie. Długość całej linii wyniesie 126 wiorst. Budowa poprowadzoną będzie z nadzwyczajną szybkością.

— Na przestrzeni 16 wiorst od Jabłonny do Narwi wkrótce zbudowaną będzie nowa odnoga kolei.

— Główne Towarzystwo ruskich kolei zniżyło taryfę przewozu owoców i krzewów. Dawniej przewóz puda owoców z Warszawy do Petersburga kosztował 1 rs. 30 kop. obecnie — 40 kop.

— Warszawska Izba sądowa wydała niedawno wyrok w sprawie o emeryturę, wytoczonej przeciwko kasie zjednoczenia dla urzędników i służby kolei Terespolskiej. Powód był następujący: Antoni Wolf, pełniący ostatnio obowiązki naczelnika „depo" w Brześciu, skutkiem choroby oczu został uwolniony od służby, przy czem przyznano mu emerytury rs. 337 kop. 50 tj. połowę pensyi pobieranej, pomimo, iż podług § 17 ustawy, jako niezdolny do dalszej służby, którą chorobę spowodowała, tudzież ze względu, iż wysłużył więcej, niż 15 lat, miał prawo do całej pensyi. Izba sądowa zgodnie z poprzednim wyrokiem sądu okręgowego, całkowicie pretensye p. Wolfa zasądziła.

Przemysł i handel. Przedstawiciele cukrowników w Kijowie podpisali akt przedłużenia konwencyi w sprawie wywozu nadprodukcyi cukru za granicę.

— W ministeryum skarbu rozpatrywany jest wniosek o zwiększenie cła od dowożonych z zagranicy owoców, z wyjątkiem pomarańcz i cytryn.

— Przemysłowcy ruscy założyli spółkę, która otworzy składy towarów w Kairze, Smyrnie i innych miastach na wschodzie.

— Przedstawiono do zatwierdzenia komitetowi ministrów ustawę Towarzystwa transportowego i ubezpieczeń „Otleczestwo." Kapitał zakładowy: 2.500,000 rs., podzielony na 10,000 akcyj po 250 rs. każda. Założyciele: Daragan, Takke, Wiśniewski i inni.

— Z inicyatywy galicyjskiego Towarzystwa krajowego przemysłu tkackiego powstanie w Krośnie zakład blichu i apretury.

Konkursy. Konkurs architektoniczny rozstrzygnięto w Warszawie. Pierwszej nagrody w sumie 600 rs. nie dano nikomu, rozdzielono ją jednak na dwie i przyznano 300 rs. p. Edwardowi Goldbergowi za projekt cerkwi prawosławnej w Astrachaniu, 300 rs. p. Szymonowi Widawerowi z Karlsruhe za projekt zakładu kąpielowego w połączeniu ze stałą wystawą sztuk pięknych. Dwie następne nagrody drugiej kategoryi przyznano: p. Pawłowi Hoserowi z Warszawy za projekt kościoła z cegły bez tynku, w stylu romańskim 200 rs. i St. Adamczewskiemu z Warszawy za projekt cmentarza katakumbowego 200 rs. List pochwalny z dodatkiem pieniężnym rs. 100 otrzymał p. Zygmunt Hendel z Krakowa za plany restauracyi zamku tenczyńskiego.

— Konkurs malarski im. Wojciecha Gersona rozstrzygnięto w Warszawie. Nagrodę rs. 600 przyznano p. Alchimowiczowi za obraz p. t. „Milda." Prócz tego dano dwa wyróżnienia. p. Ciaglińskiemu za „Fontannę łez w Bakczysaraju" i p. Piątkowskiemu za „Zwiastowanie N. P. Maryi."

Bibliografia. P. Mantegazza. *Chora miłość*, romans hygieniczny, str. 228. Warszawa, Gebethner i Wolff.

— E. Desbeaux, *Tajemnice wiedzy*, zeszyt 1, M. Wo-[illegible]

— H. Waśniewski, *Hypnotyzm u zwierząt*, str. 42, Warszawa, *Gazeta rolnicza*.

— K. B. *O wściekliźnie*, str. 19, Warszawa.

— A. P. *O tem co jest ospa*, str. 20, Warszawa.

— J. D. Dan, *Podręcznik geologii*, spolszczył I. Siemiradzki, str. 219, Warszawa.

— M. Rodziewicz, *Ono*, powieść, str. 265, Warszawa, Gebethner i Wolff.

Zmarli. Casal, w Dublinie; matematyk, profesor wszechnicy miejscowej.

— Ludwik hr. Faucher de Careil, w Paryżu; literat [illegible]

OGŁOSZENIA.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 25 Января 1891 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. [illegible] Świ